

TADEUSZ ZIELIŃSKI

IREZYONA
KLECHDY ATTYCKIE

SERJA PIERWSZA



WARSZAWA MCMXII KRAKÓW
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE W WARSZAWIE

[Redacted]

21454

66777/1



BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0269038

PUHAR KRZYWDY

K-168/76/91542
P

U północnego podnóża Pentelikonu, tam gdzie rzeczka Erazyn, zbiegłszy z góry, przepływa między dwoma zboczami, dążąc ku padołom równiny maratońskiej, stała osada niezamożnego włościjanina Ikarjosa. Darów Demetry rola jego nie rodziła; usilną wszakże pracą udało się przodkom jego zbudować tarasy po obu stokach, między którymi mieściła się osada. Stok południowy obsadzony był oliwkami; z ich owoców Ikarjos, posłuszny przykazaniom Pallady, wytłaczał wonny olej, zbywany następnie w Maratonie i innych miastach Czworogrodzia. Stok północny zielenił się od wiązków; ku nim garnęły się zewsząd gibkie różgi płodnej latorośli, dające grona jagód o słodczy niezwykłej. Jagody te suszył na rodzynki; rodzynki zaś po części spożywał sam, zastępując nimi miód, po części także sprzedawał.

Żona odumarła go była jeszcze w młodości, pozostawiwszy mu tylko jedyną córkę — Erygonę. To też pracy dziewczyna miała wbród: najpoważniejszym jej zadaniem było strzeżenie kózek na

stoku południowym, aby nie przeprowiały się przez Erazyn i nie skubały delikatnych różeg latorośli. W zadaniu tem pomagała jej zresztą wierna jej suka Mera: leżąc przed drzwiami, równocześnie strzegła ona domu i pilnie baczyła, aby żadna z kóz, przychodzących pić z ruczaju, nie przechodziła po za jego zakazane łożysko.

Wobec znacznej odległości osady od wsi najbliższej, dni Erygony upływały w zupełnej niemal samotności. W zabawach i tańcach swych rówieśnic ku czci Artemidy nie brała ona udziału — nie mogła oddalać się na długo — i poprzestawała na tem, że w dniu wiosennego jej święta składała jej w ofierze krew kozłęcia oraz pieśni, jakich nauczyła ją pewna kapłanka braurońska, przypadkowo goszcząca w osadzie.

Jedynem tedy towarzystwem dziewczęcia był jej ojciec; ale i z nim rozmawiała niewiele. Ikarjos po śmierci żony stał się bardzo milczący; w córce nie widział osoby równej sobie; dziewczyna nie mogła nie zdawać sobie sprawy, że jej suka Mera, że każda z jej [kózek i że nawet oswojona kawka, skacząca po wbitych w ścianę prętach, była jej bliższa i zdała się być bardziej rodzona, niżli rodzony jej ojciec. Myśl ta napawała ją smutkiem; jak zdawało się, napawała też i jego, ale sprawa przeto nie obracała się na lepsze. Oboje pracowali aż do rąk urobienia, jakkolwiek, w istocie rzeczy, nie wiedzieli poco. Radość jakgdyby zapomniiała, że jest na świecie osada Ikarjosa pod Pentelikonem.

II.

Był upalny dzień letni. Niedawno zebrane grona bursztynowe latorośli pokrywały wszystek dach i wszystkie ku słońcu zwrócone ściany domu; nie mało ich leżało i na stole przed kominkiem. Za stołem, na łożu, siedzieli Ikarjos i Erygona, to jest, siedziała właściwie tylko Erygona, Ikarjos zaś, wedle obyczaju, który zdażył już był zakorzenieć się podówczas, spoczywał, leżąc, wsparty na lewym łokciu. Zamieniali zrzadka między sobą zdania dorywcze, atoli myśli ich bujały w dziedzinach odrębnych.

Wtem, za drzwiami dało się słyszeć szczekanie Mery, które natychmiast przeszło w wycie przeciągłe i jakgdyby bojaźliwe. Niebawem drzwi się otwarły i wszedł podróżny, człowiek poważny, lecz o wyglądzie niezwykłym, wskazującym przybysza z dalekich stron. Miał na sobie długi płaszcz faldzisty wschodniego pokroju, zdający się splywać z jego ramion na dorodną jego postać; długa i szeroka broda także jakgdyby splywała wonnemi bursztynowemi smugami z podbródka jego na pierś. Długie jego włosy były podpięte i okolone wieńcem bluszczowym.

— Witaj, gościu! — rzekł Ikarjos. Uśmierzysz z nami głód i pragnienie, a potem opowiesz nam, kto zacz jesteś i co cię tu sprowadza.

Gość zbliżył się do stołu i zajął miejsce na zydlu składanym, jaki podsunęła mu Erygona, narzuciwszy nań, przez szacunek dla gościa, skórę kozią. Przybysz spróbował chleba, łyknął mleka

koziego, ale, widocznie, bardziej dlatego, aby nie obrazić gospodarza; nie zdawał się być ani głodnym ani spragnionym. Opowieści snuł natomiast bez końca — o krajach obcych, o ich życiu i obyczajach, o bogach i herosach, o mądrości przodków, o stworzeniu świata i o życiu zagrobem. Ikarjos i Erygona słuchali go, zapomniawszy sami o jadłach i picu; oboje byli oczarowani jego opowieściami.

— A teraz, — rzekł, jakby kończąc rozmowę, — chciałbym odwdziżyć się wam za gościnę. Ikarjosie, czy nie masz jakiego życzenia?

Czoło i oczy Ikarjosa zaćmił nagły smutek.

— Mam, lecz jest to życzenie niepodobne do spełnienia.

— Jakie?

— Chciałbym, rzekł cicho Ikarjos, aby zmartwychwstała żona moja, którą bogowie zabrali mi w młodości, — za co zabrali, niem wiem.

— Żona twoja zmartwychwstała, nie wątpię o tem, lecz zmartwychwstała dla innego, lepszego życia. Wszelako — ciągnął tajemniczo gość — jest rzeczą możliwą wskrzesić ją już teraz w twojej świadomości, tak, że stanie ona przed twoim wzrokiem wewnątrz tak żywo i dobitnie, jakgdyby żyła.

— Hekato potężna! — zawołał w przestachu Ikarjos — oby na dobro obróciły się nam twoje widzenia!

— Daj pokój Hekacie, — odrzekł gość z uśmiechem, — ona tu niepotrzebna. Jest rzeczą możliwą, powiedziałem; powiem lepiej: są dwie możliwości,

lecz jedna z nich istnieje tylko dla wtajemniczonych.

Przybysz w rozmarzeniu w tył odchylił głowę.

— Gdy ziemia, skowana mrozem, uczuje skroś pancierz zimowy pierwszą pieszczotą nowego słońca; gdy lasy Pentelikonu rozebrzmia w dzień śpiewem ptaków przelotnych, a nocą okrzykami zachwyty naszej drużyny: o! stokroć błogosławieni są ci, którzy powezmą wtenczas wieść szczęśliwą o bogu nowym i jego cudach! Nie ulegną oni śmierci, nie ulegną zniszczeniu: poznają, że jest dusza, i że jest nieśmiertelna. Ale to — rzecz przyszłości, jakkolwiek rychłej — ciągnął nadal głosem spokojnym. Druga zaś możliwość istnieje dla wszystkich, i — tobie sądzono zwiastować ją ludziom.

Poczem, jakby zmieniając rozmowę, chwycił leżące przed sobą grono latorośli i, spróbowałszy go, spytał gospodarza:

— Przedziwnie słodkie są te owoce; co z nich robisz?

— Rodzynki, — odpowiedział Ikarjos. — Nie są to przecież jagody Ateny; nic pożytecznego z nich zrobić niemożna.

— Mylisz się, przyjacielu. Pokażę ci, co robić z nich można, i w nauce tej zawierać się będzie mój dar i zarazem spełnienie mojej obietnicy. Czy posiadasz tłocznice?

— Posiadam, posługujemy się nią do wytłaczania oliwek.

— Prowadź mię do niej, zabrawszy z sobą trzy spore beczułki. Ty zaś, dziewojo, przynieś nam tam jak najwięcej gron. Weźmiemy się razem do roboty.

III.

Zapadał już wieczór, gdy uporano się z robotą. Beczulki, słodkim napełnione sokiem, przeniesiono na miejsce suche i otwarte, kędy Erazyn wylewami swemi ongi wytworzył wał piaszczysty. Wedle wskazań gościa, naczynia zakopano w piasku; skoro wszystko było wykonane, gość wstąpił na wyniosłość wału — Ikarjos i Erygona zrozumieli, że ma on im do powiedzenia jakąś rzecz niezmiernie doniosłą: nastąpiła uroczysta cisza.

— Ja stoję na grobie, — jał mówić ścicha; złożyliśmy w nim soczysty owoc jesieni; przecho-wa go rola zimowa. Ale bądźcie pewni: gdy skroś zimny pancierz uczuje ona pieśczęotę młodego słońca, zwróci wam to, coście jej powierzyli, ale zwróci w postaci przeistoczonej i uduchowionej. Głęboka leży treść, przyjaciele moi, w tem, co wam mówię. I wasze ciała również zakopane będą w tem samem łonie macierzyńskim ziemi, i wam sądzono również zmartwychpowstać w postaci przeistoczonej, uduchowionej. Rozpowszechniajcie przypowieść moją wśród wszystkich, drodzy moi; zrozumie ją ten, kto zdolen będzie zrozumieć. A zrozumiawszy, uwierzy; uwierzywszy zaś, dostąpi moich misterjów i najdzie zbawienie. Wam atoli poruczam inną naukę. Pamiętajcie, pamiętajcie, drodzy moi: *Wskrzyszony wskrzesza!* Wskrzyszony sok latorośli będziecie odtąd nazywali *winem*, owoc zaś jej *winogradem*, ją zaś samą łożą winną. Imiona te daję wam dla wszystkich narodów i po wszystkie czasy. I skoro niemowlę zaigra w łonie matki-

ziemi, otwórzcie je i pijcie krew jego. Albowiem krew ta stanowić będzie napój zmartwychwstania i nieśmiertelności. Ale dowiedzcie się także, jak pić ją należy, aby nie stała się dla was trunkiem śmierci i potępienia. Pamiętajcie, że doskonałość polega na trójcy. Jedna miara wina, moi drodzy, i trzy miary wody: oto połączenie, które ja wam zalecam. Z tak połączonej mieszczaniny, po uczcie, odśpiewawszy pean uroczysty, pić możecie trzy puhary. Trzy puhary, nie więcej! Pierwszy — ku czci Zeusa Olimpijskiego; z niego bowiem idzie wszelki początek. Jemu wylejcie kilka kropel, a potem pijcie sami. Drugi — ku czci herosów i dusz umarłych, którym też kropel kilka ofiarujcie. Będzie to puhar wskrzeszenia, albowiem, powtarzam, wskrzeszony — wskrzesza. Kto jest młody, ten nie ma nic do wskrzeszania; dla ciebie, Erygono, i jeden puhar wystarczy. Ale, kto wiele przeżył, wiele pogrzebał, ten odnajdzie swe przeżycia, i w puharze drugim przywróci do życia swą przeszłość. Trzeci zaś — ku czci Zeusa Zbawiciela; albowiem od Zeusa zaczyna i na Zeusie kończy wszelkie sprawy ten, w kim rozum czuwa. Potem zaś udajcie się na spoczynek, — a sen wasz będzie lekki i widzenia jego — radosne. Czwartego zaś puharu nie tykajcie, albowiem — gromowym zakończył głosem:

— *Puhar czwarty jest puharem krzywdy!*

Umilkł.

Z zachwytem i lękiem patrzyli nań Ikarjos i Erygona, gdy stał na wyniosłości wału pod sklepieniem nocy, usianem gwiazdami. Długo milczeli

wszyscy troje. Nakoniec, Ikarjos, pragnąc usłyszeć dalsze objawienia gościa, nieśmiało i z pokorą przerwał uroczystą ciszę:

— Wierzę, gościu mój, że nie bez woli bożej kraj nasz nawiedziłeś. Ale czy nie raczysz oznajmić nam, kim jesteś, skąd przychodzisz i dlaczego nam właśnie naukę swą przynosisz?

Gość wyciągnął rękę ku tej stronie nieboskłonu, gdzie płonął gwiazdozbiór Wielkiej Niedźwiedzicy.

— Ojczyzna moja — rzekł — jest tam, w kraju rzek lodowatych i szumiących borów. Stopa wasza nie tknęła dotąd ziemi tego kraju; skoro zaś wychodźcy wasi ją odwiedzają, wraz z darami Demetry przyniosą oni jej także i mój dar. Ale nie na dobro on wyjdzie jej tęgiemu ludowi. Albowiem kraj Wielkiej Niedźwiedzicy jest krajem dzikiej i nieokiełznanej woli. Nie znając bogów olimpijskich i Prawdy niebieskiej, strzegącej niezłomnej ich umowy, ślepcy ci poważają się nawet dary Demetry zużywać na marne, świętokradczo dobywając z nich podobieństwo daru mojego. I, rzecz prosta, nie cofną się przed puharem Krzywdy: syn będzie poniewierał w prochu starego ojca; matka sprzedawać będzie swe młode córki. I odebrane im będzie to dobro, którego używać nie będą umieli z umiarem.

Teraz gość wyciągnął rękę ku przeciwniejszej stronie sklepienia, kędy górną połową ciała wylaniał się zza góry olbrzym ognisty, Orjon:

— Tam zaś, — ciągnął dalej, — leży kraj gór wypalonych i lotnych piasków; na podobieństwo

samego Orjona, tego chciwego i pożądlivego myśliwca, i kraj jego jest krajem chciwej *pożądliwości*. I jemu nie na dobre wyjdzie mój dar; więc mądry powstanie prawodawca, który mu wzbroní go zupełnie i nazawsze.

— Wy zaś, Hellenowie, jesteście szczęśliwi przeto, że zamieszkujecie między jednemi a drugimi ludami. Kraj wasz jest krajem *rozumu i umiaru*. Wam tedy dar swój powierzam, dar radości i zmartwychwstania. Jeśli zaś pytać was będą, kto zacy był gość wasz, powiedzcie, że był to *Djonizos, syn Zeusa i Semeli*.

W chwili tej fałdzisty płaszcz i długa broda przybysza rozpląły się w błękitie nocy: w świetle wschodzącego księżyca przed ojcem i córką stanął młodzian o urodzie boga, z głębokimi ciemnymi oczyma, z rumieńcami natchnienia na licach. Nim zdążyli ochłonąć ze zdumienia, przyłożył rękę do ust i dwakroć donośnie wykrzyknął:

— I-o! I-o!

Wszystko dokoła ożyło.

— I-o! I-o! — ozwało się w odpowiedzi.

— Evoe, Bachu! Naprzód, bachantki! Naprzód bachantki! W góry, w góry! Evoe!

Zabłysły pochodnie wśród wiązków stoku północnego, wśród drzew oliwnych stoku południowego, w zaroślach oleandrowych Erazynu. Zaroily się dziwne postaci: młodzieńcy w skórkach kozich, dziewczęta ze skórą łań, rzuconemi przez ramię, ściągniętymi pasem z węzów. Wszyscy wirowali, tańczyli wśród ogłuszającej muzyki, w której trele fletów splatały się z hurgotem bębnow i brzmie-

niem miedzi. Coraz bliżej, coraz bliżej nadciągał oszalały tłum; wał piaszczysty już ogarnięty był przez nich ze wszystkich stron.

Ikarjos i Erygona stali, jak olśnieni, nie wiedząc, co się z nimi dzieje. Już nie tłum wirował w tańcu,—tańczyły wszystkie góry, tańczyły drzewa na górach i gwiazdy na niebie; wszystko w zawrotnem płaśało kole; przez cały obszar świata, zdawało się, toczy się falą niewstrzymaną ów dziwny, niepozbyty oszalamiający okrzyk:

— Evoe!

I coraz wyżej, wyżej piętrzyła się fala. Oto z pośród tłumu młodzieńców i dziewcząt złoty wysunął się wóz, zaprzężony w jakieś niewidziane dotąd, dzikie zwierzęta. Siedziała na nim pani przedziwnej piękności i królewskiego majestatu. Wóz skierował się wprost ku wałowi piasku.

— Tu, synu mój! Do mnie!

Djonizos zajął miejsce obok tej, która go wołała, łaskawie żegnając się skinieniem ręki z Ikarjosem i Erygoną. Wóz natychmiast pomknął w stronę Pentelikonu, wszystek upojony tłum popędził jego śladem. Wszystko znikło, jak sen, i tylko okrzyki: „I-o! Djonizos! I-o! Semela! Evoe! Evoe!” rozlegały się od czasu do czasu z hal górskich, aż i one w końcu w nocnej rozplynęły się ciszy.

IV.

Nadeszła zima, mroźna i jasna; dla mieszkańców osady nad Erazynem minęła ona tak samo, jak i wszystkie poprzednie. Gdy jednak błysło nad

nimi światło czwartej pełni miesięcznej, Ikarjos rzekł do córki:

— Czas wykonać zlecenie naszego gościa boskiego.

Nazajutrz po robocie udali się do wału piaszczystego i odkopali jedną z trzech beczulek; przywniówszy ją do siebie, odlali niedużą miarę w pękaty dzban, dodali trzy młary wody i napełnili mieszaniną dwa puhary.

Spożyli obiad, jak zazwyczaj; Ikarjos ujął swój puhar, nie odrazu wszakże podniósł go ku ustom.

— Djonizos rozkazał odśpiewać przed winem pean; któż nam go zaśpiewa?

— Ja zaśpiewam, rzekła Erygona.

— Ty? Alboż ty umiesz?

Erygona wstała i zaśpiewała, zwracając się do światła i wnosząc pobożnie ręce:

Zeusie, słysz!

Jeśli ten imienia dźwięk

Umiłował sobie bóg,

Tak go zwę, kimkolwiek jest.

W krąg daremnie szuka myśl:

Z czemże go porównać mam,

Okrom jednego li Zeusa, by z duszy swej ufnie

Zrzucić próżne brzemie dum.

Minął, zczezł

Ów, co ongi wielki był,

W nieprzepartą zbrojny moc;

Wieść, że był, przepadła z nim...

Chwycił drugi świata rząd—

Runął, gdy go trzeci zmógł..

Zeusa zwycięstwo kto sercem wysławia radosnem,

Ten mądrości posiadał skarb.

Ikarjos w niemym podziwiewie słuchał słów pieśni. Córka jego nagle wydała mu się jakaś inna. „Jak, jednakże, mało ją znałem!” — przemknęło mu przez głowę.

— Kto nauczył cię, dziecko, tej pieśni?

— Śpiewak z Eleuzynu, ojczu.

— Zaśpiewaj jeszcze raz.

Erygon powtórzyła.

Ikarjos wsłuchiwał się w głębokomyślnie słowa pieśni i sam sobie półgłosem je tłumaczył.

— Tak, tak, to — prawda. Zeus jest jeden dla wszystkich ludów; my zowiemy go Zeusem, inni zaś, jak kto umie. Tak, bogiem odwiecznym był Uran, bóg niepohamowanego zapładniania; postradał on moc, odkąd ziemię żywe zapelniły stworzenia. Tak, bogiem wtórym był Kronos, bóg błogiego, zwierzęcego istnienia bez celu; ten ustąpił miejsca Zeusowi, który obdarzył nas rozumem, sprawiedliwością i prawem. Tak, dziecinko, wszystko to prawda...

Stracił kilka kropel na ziemię.

— Zeusowi Olimpijskiemu! — rzekł. Erygon poszła za jego przykładem.

Po ulaniu tych kropel oboje nadpili wina z puharów i natychmiast zdali sobie sprawę z tego, że było to coś nowego, nie dającego się z niczem znanem porównać. I słodycz, i świeżość, i ognistość — a jednocześnie cudna jakaś omdlałość, jakiś skupiony aromat wilgotnej, pieściwej nocy letniej.

Pociągnęli jeszcze. Uczucie zdumienia przeszło, ustępując pola uczuciom nawyknienia. Myśli,

od nowego wrażenia zwolnione, wróciły do peanu śpiewaka eleuzyńskiego. Ikarjos tłumaczył go po swojemu; dla córki jego było wiele nowego w tem tłumaczeniu, w tem następstwie trzech pokoleń boskich. Chciwie słów jego słuchała, wtrącając niekiedy jakąś uwagę od siebie, lub pytanie. Tak, inna to była rozmowa, niż dawniej, gdy krótkiem słowem rozkazywał jej narwać klematysu dla kóz i potem pogrążał się znów w swą zwykłą posępną zadumę.

— Jak, jednakże mało znałam go dotychczas! pomyślała sobie.

Niebawem Ikarjos pierwszy puhar swój wychylił do dna. Podsunął go córce, i ta napelniła puhar po raz wtóry. Znów wylał odrobinę:

— Na cześć herosów i dusz umarłych!

Zwracając się zaś do Erygony, dodał:

— Niech żyje pamięć twojej matki, której ty, nieboga, nie znałaś nawet!

I spróbował wina.

— A jaka była matka moja? — spytała Erygon, i w tej chwili dziwnem się jej zdało, że po raz pierwszy w życiu zadaje mu to pytanie.

Popił jeszcze, poczem spojrzął na córkę: oczy jej błyszczały, krew rumieńcami grała na jej ogorzałych policzkach. Tak, taka była i *tamta*, gdy po raz pierwszy ją ujrzał w tanecznym orszaku Artemidy wśród dziewcząt pteleońskich. Począł opisywać jej, jak to było, jak stała się jego żoną, jak szczęśliwe było ich życie — aż do owego dnia goryczy, gdy ta sama Artemida niewidzialną swą strzałą zgasła światło jej oczu. Ile miłości, ile tkliwego

kochania tało się w duszy tego człowieka — a ona nic o tem nie wiedziała!

Skończył się i drugi puhar; Erygona nałała ojcu trzeci.

— Na cześć Zeusa Zbawiciela! — rzekł, roniąc znów kilka kropel.

— Zeusie, słysz!... powtórzył w zadumie.

— Powiedz mi też, córko, czy dużo umiesz takich pieśni?

Erygona poweselała w okamgnieniu.

— Z pośród nabożnych umiem jeszcze pieśń o Palladzie: *Bądź pochwalona, córko Gromowładcy, którą król Pandjon kazał śpiewać podczas uroczystości Panatenejów; potem: Demetro, królowo misterjów niepokalanych, wysłuchaj mnie...; potem: Artemido, światło nocy...; potem jeszcze o Djonizosie.*

— O Djonizosie? A któż mógł cię nauczyć, skoro on nikomu jeszcze się nie objawiał prócz nas obojga.

— Ułożyłam sama.

Ikarjos z zachwytem patrzył na córkę; czuł, że przepada za nią.

— A jakie znasz jeszcze?

— Znam jeszcze taneczne: *Wyjrzyj, o, wyjrzyj, jasne słoneczko!... i Gdyby mi lirą być dźwięczną, wzorzystą... i Gdzież wy, fijołki, gdzież wy, róże moje...*

— A znasz miłosne? — spytał, uśmiechając się figlarnie.

— Znam i miłosne, — odrzekła, śmiejąc się, ale śpiewać ich nie będę.

Spojrzał w swój puhar, pozostawało tam ly-

ków już niewiele. Żał mu było rozstawać się; zdało mu się, że teraz dopiero doszedł smaku. Lecz przykazanie boga było niezłomne.

— Bo też i nie trzeba mi pieśni miłosnych — odparł wesolo. Ty zaś, na ostatek, zaśpiewaj tę pieśń dziękczynną ku czci Djonizosa, coś ją sama ułożyła.

— Zaśpiewam tylko jedną zwrotkę, rzeka Erygona, pieszczotliwie patrząc na ojca, tę, która sama przez się powstała w moich myślach przed chwilą.

Podniosła się i zaśpiewała:

Bóg rad wita gwar biesiady,
Cieszy go wesela czas,
Lecz najbardziej rad Irenie,
Mir niosącej wpośród nas.
Wstań, samotny pustelniku,
Zbądź goryczy, trosk i trwóg,
Wszystko, co nas dzielić mogło,
Djoniz czarem nowym zmógł.

Ikarjos wstał, uściskał ją i tklawie, tklawie pocałował. Oboje uczuli, że pocałunek ten wynagradza ich za lata wyrzeczeń i samotności, że dopiero teraz stali się dla siebie ojcem i córką.

— Śpij słodko, córuchno! — rzekł jej na dobranoc. — Jutro zaś, o! jutro zaczniesz nowe życie.

V.

Jednakże sam spał nieszczęśliwie; myśli o córce spędzały sen z jego powiek. Inne w jej wieku dziewczęta płały w kołach tanecznych,

obchodząc święta Artemidy; tam widywali je młodzieńcy, wypatrujący sobie narzeczonych. Jej zaś uroda kwitła samotnie, w odległym futorze i również samotnie przekwitnie.

Trzeba to zmienić; niechaj i ona odtąd chodzi odwiedzać rówieśnice swe do Maratonu, Pteleonu lub innego z miast Czworogrodzia. Ale co począć z gospodarstwem? Wypadnie najać robotnicę w Maratonie, albo — jeszcze lepiej — nabyć niewolnicę. Najać, nabyć... tak, lecz do tego potrzebne są pieniądze, a skądże ich wziąć? Powiedz, Djonizosie!

Tak... ależ przecie nie na to objawił mu się Djonizos, by miał dar jego ukrywać. Pójdzie on po Attyce, jako jego poseł, tak, jak ongi chodził Tryptolemos z poselstwem Demetry. Naukę, rozumie się, opowiadać będzie bezpłatnie, lecz wino swe, swe dobro sprzedać może bez obawy grzechu. Wszak ma u siebie jeszcze dwie beczułki nietknięte, a i trzecia jest prawie cała.

Nazajutrz, ledwie zarumieniła się zorza, spotkała go na progu inna zorza — Erygona.

— Witaj i żegnaj zarazem, córko, — rzekł do niej Ikarjos: — idę między ludzi z wieścią o bogu, dobroczyńcy naszym.

— Jakto? Już?

— Tak, córko, bóg tak każe. Przynies dwa mieszki kozie, przelejemy w nie zawartość rozczętej wczora beczułki, załadujemy je na osła — i w drogę!

Erygona ze smutkiem spełniła to żądanie; nie miała ochoty puszczać ojca w drogę.

— Ojczel! serce mi wróży coś niedobrego.

Wspomnij, wszak i Tryptolemosomal nie zginął z rąk króla Scytów, któremu dar swój przyniósł!

— To było u Scytów, córko, acz i tam nie opuściła go Demetra. Ja zaś idę do Hellenów, do ziomków; więc czegoż mam się bać?

Jednakże Mera podzielała snadź niepokój swej pani. Z wyrazem najwyższej niechęci śledziła przygotowania i wciąż patrzyła na nią z wyrzutem: czyżbyś, zdawała się pytać, miała go puścić w podróż? Skoro zaś Ikarjos, pożegnawszy się z córką, pognął osła wzdłuż Erazynu, suka ponownie pytając popatrzała na nią. Erygona skinęła głową, — i Mera z piskiem żalonym popędziła, aby dogonić swego pana.

— Idź, idź, moja ulubienico, będziesz mu potrzebniejsza: — pomyślała sobie Erygona. — O, Djonizosie, Djonizosie! Wczoraj zaledwie poznałam złote jego serce — i już rozłąka! Cóż, pracować będę za troje, — myślała nadal z uśmiechem, — za niego, za siebie, i za Merę. Teraz tembardziej nie pozwolę ja wam, moje kózki, skubać pędów naszej łozy winnej.

VI.

Ikarjos szybkimi krokami szedł wdół za łożyskiem Erazynu, o tej porze bardzo obfitego w wody. Ujrzawszy, że Mera zamierza mu towarzyszyć, chciał ją zrazu odegnąć; wszystkie atoli groźby i nawet uderzenia były daremne, machnął więc na nią ręką.

Erazyn w tej okolicy czas pewien płynie mię-

dzy dwoma wzgórzami ku północo-wschodowi, potem, dostawszy się na równinę, zawraca nagle na południo-wschód, tworząc bagno maratońskie, to bagno złowieszcze, w którym po wielu stuleciach zginąć miało wojsko perskie. Stąd widać już modrą toń morza, i coraz częściej spotyka się tu znamienne dla Maratonu sitowie, *phleôs*, z którego rybacy jego pletli swe niewody.

Doszedłszy do zakrętu ruczaju, Ikarjos zatrzymał się. Czy ma pójść do Maratonu? Było to jego zamiarem pierwotnym; pod wpływem atoli wspomnień wczorajszych, zapragnął dar swój złożyć nasamprzód rodzinnemu miastu żony swej, Pteleonowi, w którym nie był ani razu od czasu jej śmierci. Porzuciwszy łożysko Erazynu, udał się w dalszym ciągu na północo-wschód.

Wprędce doszedł do pagórka z gajem wiązowym, który nadał imię wiosce — „Pteleon“ znaczy „Wiązownia“. Pamiętał ją doskonale: wszak tam zobaczył po raz pierwszy swą żonę w tanecznym kole Artemidy. Gaj był ten sam; lecz... cóż to? Czy złudzenie słuchu? Nie, i koło taneczne to samo; dźwięki fletu, śmiech dziewczyc, pieśni. Zostawił osła pod strażą Mery i cicho, ukrywając się za garbami roli, podkradł się ku gajowi.

Tam, rzeczywiście, tańczyły i śpiewały dziewczęta: to dzieliły się na dwa półchóry, to wszystkie społem, to po jednej. Uroczysta część nabożeństwa była już snadź skończona; młode czciicielki Artemidy bawiły się między sobą. Przykucnąwszy za drzewem, Ikarjos mógł być wyraźnie słyszeć pieśń jednego półchóru:

Dumą łśni Filomeli wzrok:

„Piękna, młoda. urocza!“

Nad czołem bielszem ponad śnieg

Złotem gra blask warkocza.

Istna królowa z niej!... Lecz nie!

Plomienniej nad zórz świty

Rumieniec lfinoji lic

Tchnie żarem Arodyty.

Teraz drugi półchór dał znać o sobie:

Precz z żartami! Popatrzcie tu:

Widzicie cud urody?

Śliczniejszej nie zna cały świat

Od Antjaniry młodej.

Tak nas Heljosa ślepi blask

Pośród niebios wyżyny.

Lecz przy niej, jak miesięczna jaśń,

W dzięk jaśnieje Korynny.

Półchóry w nieładzie pozornym zamieniły niektóre głosy:

A cóż inne? Powiedzcie nam:

Czyż oka nie zachwyca,

Wysmukłej Nikorydy pleć,

Nikandry gładkość lica?

Czy zagasł Androtymy wzrok?

Czy wdziękiem nie pedbija

Dorodna kibić Kallistò,

Albo Pandory szyja?

Nakoniec, wszystkie, połączywszy się w jeden chór zgodny, pobożnie wzniosły ręce ku niebiosom i zaśpiewały razem:

Wszystkie są piękne, wszystkie — lecz

W zawody niech nie idą

Z tobą, królowo naszych pól,

Dziewico, Artemido!

Wejrzyj na swych czcicielek rój,
I z niebieskiego tronu,
Bogini, w stałej pieczy miej
Ziem i lud Pteleonu!

VII.

Ikarjos w niemym zachwycie dosłuchał pieśni do końca: zdawało mu się, że o dwadzieścia lat odmłodził. Gdy umilkły już głosy ostatnie, wyszedł z poza drzewa, za którem się ukrywał, i rzekł głośno:

— Ślicznotki moje, a która z was wskaże mi drogę do leschy pteleończyków? Śpieszę do nich w sprawie narodowej.

Dziewczęta wydały zrazu pisk przerażenia, szybko atoli ochłoneły, zobaczywszy poczciwego włóscijanina, wdzięcznie uśmiechniętego, z poważną siwizną we włosach i w brodzie. Filomela, która, jako córka demarchy, poczuwała się do przewodnictwa w tem gronie odważyła się nawet na pewną uszczypliwość słowa:

— A czy to godzi się gościu, wedle obyczaju helleńskiego, podpatrywać nabożeństwa Artemidy i podsłuchiwać pieśni jej dziewic?

— Niechże mi łaski swej nie okaże potężna córka Zeusa, skoro miałem choć odrobinę zlej woli! Nie, ślicznotki moje, ja się poprostu zapatrzyłem na was: wszak i ja też mam córkę w waszym wieku, i przez cały czas myślałem o tem, jak dobrze byłoby jej śpiewać i pisać z wami.

Filomela w jednej chwili przeszła od gniewu do przyjaźni:

— I my będziemy jej rade, gościu, jeśli jest ona tak samo uprzejma, jak ty.

— Ale powiedzcie. młódki, na jaką intencję święcicie te obrzędy pobożne?

Teraz, Antjanira, przewodniczka drugiego półchóru, postanowiwszy, że jej współzawodnice dość się już popisały, wmieszała się do rozmowy:

— Jakto, gościu, czy nie wiesz, że w tym roku, za cztery pełnie miesięczne czeka nas święto Artemidy Braurońskiej? Wszystkie miasta Attyki wysyłają do Brauronu swe dziewice, aby tam stały się świętami „niedźwiedzicami“ dzielnej bogini i zjednały jej łaskę dla małżeństwa; więc też i my nie chcemy zostać w tyle.

— I mówią jeszcze, — dodała czarnooka Androtyma, — że sama królowa Zeuksyppa zjedzie do Brauronu i będzie wieńce rozdawała. Co prawda, Brauron nie podlega królom ateńskim, lecz w imię zgody gród Artemidy pragnie w ten sposób uczcić miasto Pallady.

— Niechże was bogini ma w swej łasce i niech da wam zwycięstwo nad córami Brauronu i nad wszystkimi innemi.

— Ano, nie tak łatwo to przyjdzie, — wtrąciła swoje Korynna: — nazbyt są one uczone. Zato trykorytjanki spodziewamy się pobić na głowę!

Wszystkie wybuchły śmiechem.

— Brzęccie sobie, ile chcecie, komarzyce trykoryckie, a nam nie dorównacie!

Ikarjos uśmiechnął się. Trykoryt był to sąsiad najbliższy Pteleonu; współzawodnictwo tedy najsilniej tu występowało. Położony wśród bagna,

niemało cierpiał od komarów, jakkolwiek, prawdę powiedziawszy, dawały się one we znaki także i Pteleonowi.

— A któż — podjął Ikarjos — ułożył wam tę pieśń wesolą? Widocznie nie z obcych stron pochodzi, skoro was zna tak dobrze.

— Oto jej ojciec, z naciskiem oświadczyła Filomela, wskazując na Likorydę: nasz śpiewak rodzimy, Tespis. Czyś nie słyszał o nim? Słynie on po całym Czworogrodziu, a spodziewam się, że i po całej Attyce.

— Rad będę go poznać, zacne niedźwiedzice, i dlatego jeszcze raz proszę, aby która z was poprowadziła mię do leschy pteleońskiej.

— Czemu nie, z ochotą, — odpowiedziała Filomela. Dziewczęta, która poprowadzi gościa do naszych ojców?

Zwracała się do wszystkich, jednakże wzrok jej spoczywał na Ifinoi. Ifinoja była niezawodnie najśliczniejsza ze wszystkich, ustępowała atoli pierszeństwa Filomeli dlatego, że ta była córką demarchy, gdy ona była dziewczyną ubogą, córka Filochora. W innych okolicznościach nie dostałaby się ona do chóru Artemidy już dla tej prostej przyczyny, że nie miałyby za co się ubrać; jednakże towarzyszki bardzo ją kochały i za jej urodę i za wdzięczne jej usposobienie, i dlatego nie tylko stroiły ją ze swych składek, ale i wykupywały ją niekiedy u ojca, gdy ten w święto pędził ją na robotę. Usługi te, oczywista, sprowadzały w skutku pewną zależność od towarzyszek; Ifinoja rozumiała to doskonale.

— Jestem gotowa, — rzekła skromnie.

Ikarjos, pożegnawszy dziewczęta, szedł wraz z Ifinoją na drogę pteleońską, kędy zostawił osła i Merę.

— Z córkami, rzec moge, zaprzyjaźniłem się niezgorzej, rzekł sam do siebie: — zobaczymy-ż, co powiedzą ojcowie.

VIII.

W łonie leschy sprawy szły nietęgo. Nowa kapłanka Artemidy Pteleońskiej, żona Tespisa, zażądała przez męża, aby zwrócono bogini jej świętą łąkę, która wskutek zaniedbania jej poprzedniczki, zamieniona została stopniowo na wygon miejski. Powstały stąd gorące spory: ogół z niechęcią myślał o uszczupieniu dochodów miasta, lecz obawiał się również gniewu bogini. Eurykrates, ojciec znanej nam Antjaniry, radził, aby zwrócić się o rozstrzygnięcie do Apollina w Delfach. Wtenczas nicpoń Filochoros zuchwale odparł, że znaczyłoby to tyleż, co zgóry uznać sprawę za przegraną: „Z pewnością, rzekł, brat nie wystąpi przeciw siostrze“. Tespis, gniewnie pięścią w stół uderzywszy, zażądał, aby wydalono Filochora natychmiast: „Jeżeli będziemy w swoim gronie znosić bezbożników, zginiemy wszyscy niechybnie!“

Filochor trudnił się splataniem sznurów z fleosu; na tej zasadzie podawał się za demjurga (rzemieślnika) i, jako człek wymowny, zdobył sobie dostęp do rady; jednakże wszyscy uważali go za nicponia. Schlebiał on zazwyczaj demarsze, gdy

innych jednocześnie rozśmieszał wesołym dowcipem. Ostatni atoli jego wybryk oburzył wszystkich, i Filochoros struchlał nie na żarty.

W tej chwili weszła do leschy córka jego Ifinoja, prowadząc Ikarjosa.

— Przywiodłam wam gości: — oświadczyła głośno.

Nastrój, z uwagi na to, co się stało, był niezbyt gościnny; ktoś warknął nawet, że gość nieproszony gorszy jest od centaury. Lecz Tesis mu przerwał:

— Mężowie pteleońscy, pamiętajcie o prawie wszechhelleńskim! Głos ma demarcha!

Demarcha Stesagor uznał za stosowne przemówić do przybysza:

— Szczęść ci boże, przybyszu, lecz ugościmy cię nieco później: obecnie mamy pilną i trudną sprawę.

— Pozdrowienie mężom pteleońskim! — rzekł Ikarjos. — Przychodzę ja nie w gościnę, lecz z gością do was, za bożem wezwaniem; nie zaszkodzi ona sprawie waszej, ale, przeciwnie, pomoże wam ją rozstrzygnąć.

Słowo „za bożem wezwaniem“ w związku z czcigodnym wyglądem przybysza wywołało powszechną uwagę.

— Doskonale! — pośpieszył oznajmić Filochoros, rad, że uwaga została odeń odwrócona. — Należy zawsze słuchać bogów. Ale gdzie jest ów twój gościniec?

— Za drzwiami; ale do tego potrzebne są: duży dzban, woda i tyle puharów, ilu was tu obecnych.

Rozumie się, że po to wszystko pobiec musiał Filochor. Gdy dostarczył tych rzeczy, Ikarjos odwiązał jeden ze swych mieszkań i położył go przed sobą na stole.

— Od Zeusa początek! — oznajmił uroczyście. — Kto z was zaintonuje pean?

— Zaśpiewam ja, — rzekła Ifinoja.

I zaczęła:

Zeus wprowadził ludzki ród
Na rozumu drogę: „cierp
I cierpieniem ucz się“ — rzekł..
Cisza wkrąg —
Śpierz, lecz nie śpi pamięć win,
Kropla draży serca rdzeń...
Sobie wbrew
Sprawiedliwym stać się masz,
Laską darzy bóg, a przecie
Silna dłoń
Święty dzierży świata ster.

Ikarjos był zdumiony.

— Skąd znasz tę pieśń? — szeptem spytał śpiewaczki: — Ten sam rytm, ta sama melodia, co u mojej Erygony.

— Bo też ja u niej się uczyłam — odszepnęła dziewczyna. — Byłam raz u niej, aby sprzedać zwój sznurow za miarkę oliwy, i na dodatek otrzymałam tę pieśń.

To mówiąc, odeszła. Ikarjos, przysposobiwszy przepisana mieszaninę, napełnił puhary:

— Zeusowi Olimpijskiemu! — rzekł, spełniając ofiarę: — ofiarujcie i wy, przyjaciele!

Wszyscy usłuchali. Wino tak dalece nęciło ich swą nowością, że podczas pierwszego puharu

nie było o niczem innem mowy. Wszyscy wypili skwapliwie, najskwapliwiej zaś Filochoros.

Przyszła kolej na drugi puhar.

— Ku czci herosów i dusz umarłych! — rzekł Ikarjos, powtórnie ulewając wina. I dodał: — Niech żyje pamięć Klearysty, żony mojej. Była rodaczką waszą, mężowie pteleońscy.

— Była siostrą moja, — radośnie zawołał Eurykrates. — Witaj, szwagrze! Nie poznałem cię po latach dwudziestu. Zabawisz chyba u mnie w gościnie; chciałbym pokazać ci twych bratanków, Ferekratesa i Antjanirę.

— Rad będę ich widzieć; z Antjanirą, zresztą, już się zaznajomiłem, i dumny jestem, że mam taką bratanicę. Z moją Erygoną świetną stanowi parę.

Wywiązała się rozmowa o dawnych czasach. Inni jęli wspominać — każdy o swych nieboszczykach. Dały się słyszeć okrzyki: „Pamięci Kedona!“ „Pamięci Eubuliny!“ „Pamięci Erasynida“.

— Czy nie należałoby jednak wrócić do sprawy, przyjaciele? — wystąpił Tespis. Artemida wciąż na naszą czeka odpowiedź. Ty, Filochorze, coś to tam za głupstwo wprzódę palnął, szalona głowo!

Wszyscy się roześmieli; z dawnego gniewu nie zostało ani śladu.

— Nie to, zupełnie, com chciał być powiedzieć. Chciałem zaś powiedzieć rzecz następującą. Przez usta Apollina, oczywiście, wieści sama Prawda; oby wszakże jego kapłan w Delfach na korzyść kapłanki słów jego nie wypaczył!

— Słusznie mówi, — ozwał się Kallias, ojciec Kallisto.

W tej chwili demarcha uderzył dłonią w stół.

— Pamięci Androbula, ojca mego! Mądry to był doradca; nie godzien jestem rozwiązać mu nawet trzewika. Lecz teraz duch jego jakgdyby zamieszkał we mnie. Posłuchajcie, mężowie pteleońscy, jaką wam daję radę. Weźmiemy dwie zupełnie równe blaszki ołowiane; na jednej wydrapiemy „zwrócić“, na drugiej „nie zwracać“. Blaszki te zwiniemy i, pomieszawszy, wrzucimy jedną do złotej, drugą do srebrnej kruży, zalejemy woskiem, zapieczętujemy i postawimy w świątyni Artemidy. Do Apollina zaś pošemy z zapytaniem takim: jak należy nam postąpić, czy wedle złotej, czy też wedle srebrnej kruży?

— Ja się nie sprzeciwiam, — niechętnie ozwał się Tespis. Pozostali wszakże byli poprostu zachwyceni, najwięcej zaś ze wszystkich Filochoros.

— Oto rada mądra! — wołał. — Niech żyje demarcha Stezagor! Niech żyje wiecznie pamięć Androbula!

Wszyscy spełnili puhary. Wypadło Ikarjosowi napełnić trzeci.

— Zeusowi-Zbawicielowi! Pijcie mężowie; trzeci to puhar i ostatni!

— Chwała Zeusowi-Zbawicielowi! — rzekł Stezagor. Ten puhar jeszcze smaczniejszy jest od dwu pierwszych.

Jednym ciągiem wychylił do połowy.

— I wiecie mężowie, co wam powiem: jakkolwiek podobała się wam moja rada, jednakże, sam ja, pomyślawszy głębiej, cofam ją. Dostrzegłem, Tespisie, że ty przystałeś na nią wbrew

woli; a na odczuciu twojem bardzo mi zależy, ulubieńcze bogów. I myślę teraz tak: nie godzi się nam wszczynać sporu z Artemidą, opiekunką naszą. Zwróćmy jej tę łąkę, którą poświęcili jej przodkowie nasi, ona zaś błogosławić będzie reszcie łąk naszych.

— W samej rzeczy, zwróćmy!—poparli myśl tę inni. Z bogami lepiej jest żyć w zgodzie.

...Lecz najbardziej rad Irenie,
Mir niosącej wpośród nas...

Zanucił półgłosem Ikarjos.

— Ano, na cześć pokoju wypić należy!—śmiele wystąpił Filochoros.—Dalej, gościu, nalewaj czwartą puhar!

— Mężowie, niemożna! *Puhar czwarty jest puharem Krzywdy!*

— Jakiej tam znów krzywdy? Krzywda stanie się nam, gdy nam w gardle zaschnie.

— Rzekłem, niemożna! A i dzban już pusty.

— To go napelnij!

— Już wszystko wylałem z mieszka.

— Ach, ty, oszuście! Masz przecie drugi jeszcze mieszek. Sam widziałem, gdym chodził po naczynia.

Ikarjos zakłopotał się: dostrzegł, że otaczający nie po jego są stronie i patrzą nań, niby na złodzieja, na gorącym złapanego uczynku.

— Ten drugi mieszek jest nie dla was. Muszę odwieźć go do Trykorytu.

— Co? Chcesz trykorytjan raczyć? I to ma być krewny! Nie bracie, skoro naszym jesteś kre-

wniakiem, tedy nas ugaszczaj, a trykorytjanie niech sobie chlepcą swe błoto komarowe!

Pteleończycy wybuchli rubasznym śmiechem. Widząc Filochor, że znalazł poparcie, wybiegł z leschy i wprędce wrócił z mieszkem w rękę, głośno przez wszystkich witany, z wyjątkiem demarchy, Tespisa i Eurykratesa.

IX.

Demarcha uderzył ręką w stół. Klócić się ze swoimi nie chciał, tembardziej, że i sam był nie od tego, aby wypić, jeduakże nie mógł pozwolić na gwałt.

— Słuchajcie, mężowie pteleońscy! Niewolno zabierać przemocą cudzego mienia. Ikarjos ugościł nas, jako krewny, i dzięki mu za to.

Odwiązał pasa i dobył z sakiewki srebrną tetradrachmę z wizerunkiem sowy.

— Kto chce wina, niech pójdzie za moim przykładem.

Wszyscy usłuchali, prócz Tespisa, Eurykratesa i, oczywiście, Filochora. Dały się słyszeć głosy uznania:

— Nie, pocóż człowieka gwałcić? albo jesteśmy centaury?

Przed Ikarjosem wyrosła nieduża gramadka srebra.

Pokiwał głową.

— Nie zrozumieliście mnie. Chętnie ugościłbym was i bez zapłaty,—ale zrozumiejcie, nie mogę. Bóg nie każe.

— Zrozumiałem, że jednej tetradrachmy ci mało, z urazą i niecierpliwością odparł demarcha. Zgoda: masz jeszcze po jednej, skoro jesteś tak chciwy.

Gromadka srebra przed Ikarjosem powiększyła się wdwójnasób; Ikarjos z tajonem uczuciem zadowolenia patrzył, jak sówki Ateny gromadziły się jedna nad drugą, niby kury na grzędzie. Myślał o Erygonie. Oto, skąd zyska dla niej stroje, tańce, zamęście, wczasy... Coprawda, zakaz Djonizosa nie daje mu pokoju. Ale cóż począć? Skoro sami tego pragną. Tak czy inaczej, siłą zabiorą.

Machnął ręką.

— Niech będzie, jak chcecie. Dajcie dzbanek!

Lecz Filochoros, dumny ze zwycięstwa, nie ustępował.

— Po co dzbanek? Czy mało wody nażłopailiśmy się w życiu? Nalewaj wprost w puhary!

— Rzeczywiście, nalewaj odrazu,—potwierdził Demarcha. Nierozcieńczone, bodaj, będzie jeszcze smaczniejsze.

— Lej, a pełno!

Ikarjos z westchnieniem usłuchał. Inni także wyciągnęli ku niemu swe puste puhary.

Gdy napełnił wszystkie, poczęli pić bez uczynienia ofiary. Tęgie wino wlało się płynnym ogniem w ich żyły. Spoglądali wzajem po sobie, spoglądali na Ikarjosa, lecz wzrok ich był już inny, skrzyła się w nim jakaś bezprzedmiotowa, tłumiona złość. Widać było, że szukają jeno powodu, aby dać jej folgę.

Powód mimowoli nastręczył Tespis.

— Przyjaciele,—rzekł,—czyby nie należało dopełnić naszego postanowienia? Wnoszę, aby polecić pisarzowi wyrzeźbienie postanowienia tego na dwu tablicach; jedną postawimy na rynku, drugą—w świątyni Artemidy.

— Co ci tak pilno,—odciał się Kallias.—Pozwól rzecz obmyśleć, jak należy.

— Pocóż jeszcze obmyślać? Wszak już powzięliśmy postanowienie.

— Niceśmy nie powzięli; powstał poprostu wniosek.

— Oczywiście, wniosek,—potwierdził demarcha. Alboż jestem tyranem? Wszyscy jesteśmy równi.

— Bo i równi. Niech żyje równość!

Znowu wypili. Płynny ogień ze świeżą siłą zahuczał w żyłach i jaskrawym wystąpił rumieńcem na policzkach.

— Ty, Tespisie, nie pijesz z nami, więc i głosu nie zabieraj!

— Nie zgadzamy się na oddanie łąki. Na co łąka Artemidzie? Alboż to mało ma kwiatów na skłonach Olimpu?

— Słusznie!

— Ano, cóż? Odłóżmy sprawę,—rzekł z westchnieniem Tespis.

— Patrzcie-no go! Sam żądał zakończenia sprawy, a teraz — „odłóżmy“!

— Poco odkładać? Zakończyć, to i zakończyć. Żonie twojej—figa! Niech pisarz tak właśnie zapisze!

— Ale koniecznie na dwu tablicach!

— Cha, cha, cha!

— A teraz zapijmy naszą zgodę. Ikarjosie, dolewaj!

I, nie czekając na jego zgodę, wyrwano mu z rąk do połowy opróżniony mieczek. Dla wszystkich starczyło jeszcze po puharze. Resztę zabrał demarcha i nie puszczał.

Ozwało się szemranie. Demarcha groźnie walał pięścią w stół:

— Ja jestem demarchą! Kto przeciwko mnie?

— Ot, macie równość!

— Co??

Obrzucił obecnych dzikiem wejrzeniem swych wybałuszonych, krwią nabiegłych, oczu. Ikarjosa ogarnął przestach: wydało mu się, że ma przed sobą rozjuszonego byka. Pomyślał o tem, aby ująć coprędeż; kuśiła go atoli gromadka srebra, leżąca przed nim. Do sakiewki nie zmieści, a jeśli odejdzie tak, rozgrabią. A możeby poprosić Eurykratesa albo Tespisa? Lecz na tych dwu i tak wszyscy patrzyli z podełba. Nie, lepiejby byłó postarać się o niezwrócenie na siebie uwagi.

Filochoros, zlekka się zataczając, podszedł do demarchy.

— Szczerą prawdę powiadasz! Czemu Pandjon jest w Atenach, tem ty pośród nas.

I, nadstawiając swego pustego puharu:

— Wszyscy królowie nagradzają swoje wierne sługi.

— Pójdź precz!

Lecz Filochoros nie miał sił, by odejść. Czuł, że go paliło, że należało zalać ten ogień wewnętrzny, i poza tem nie czuł nic więcej.

— Ojczy mój, zbawco mój, boże mój! Naley mi puhar! Bierz całe moje mienie, ale naley!

— Całe twoje mienie, a to mi dopiero! Cóż to za mienie poza sznurami? Schowaj te sznury dla siebie, bo nie będziesz miał na czem się powiesić!

Ten i ów się roześmiał, lecz większość zatraciła już zdolność pojmovania.

— Bierz wszystko...

— Ale cóż to mam brać?

— Żonę bierz...

Czy rozumiał, co mówił? Chyba nie. Wszak nie czuł on już nic po za tem, że powinienby zalać ów ogień za wszelką cenę. Ale demarcha zachował jeszcze przytomność. Rubasznie roześmiał się na całe gardło:

— Starą babę? Nie kochaneńku, zatrzymaj ją sobie. To—także pętlica. Nawet darmobym nie wziął.

I nagle, jakgdyby olśniła go błyskawica:

— Ot, wiesz co?... Odstąp mi swą córeczkę. Wtenczas, i owszem!...

Stezagoras był mężem sprawiedliwym i rozsądnym. Ifinoję kochał po ojcowsku i chętnie widywał ją w towarzystwie swej własnej córki Filomeli. Ale teraz i jego pożerał ten sam ogień wewnętrzny. W łunie tego ognia dziewczyna stanęła nagle przed nim w całej swej urodzie, taka, jaką widział niedawno, gdy śpiewała pean Erygony — i wszystkie chuci jego runęły na jej postać. Tak, wprzódiej tego nie rozumiał, lecz teraz rozumie: tej dziewczyny pragnie, tę dziewczynę mieć musi, mieć musi za wszelką cenę, mieć musi natychmiast.

Popatrzył na Filochora owym wzrokiem swoim, wzrokiem rozjuszonego byka.

— No, co? Wzamian za córkę?

Gdyby Filochoros odrzekł był „nie“, zabiłby go był z pewnością.

— Za Ifinoję?... — wybelkotał nieszczęśnik, cofając się.

Na okamgnienie ocknęły się w nim resztki jego godności ojcowskiej, obywatelskiej, człowieczej. Ale tylko na mgnienie oka. Spoglądał on bezradnie to na twarz zezwierzęconą demarchy, to na mieszek w jego rękę, — i nagle stanowczo podsunął puhar:

— Zgoda. Lej!

— Przyprowadzisz mi ją dziś jeszcze. Przyśięgnij!

— Przysięgam. Nalewaj!

Demarcha nalał mu w puhar wina. Filochoros chciwie podjął go ku ustom, gdy wtem czyjaś dłoń wytrąciła mu puhar z ręki. Przed nim stał Tespis.

— Filochorze, czyś ty zmysły postradał? Bogowie takiej przysięgi nie przyjmują. A tobie, demarcho, wstyd wyzyskiwać nieprzytomność oszalałego człowieka.

— Co? — ryknął demarcha, waląc pięścią w stół. — Jestem demarchą. Kto przeciwko mnie?

Tym razem jednak przekrzyczał go Filochoros.

— Moje mienie! Uczynię, co mi się podoba. Ja splodziłem, nie ty! Do mnie należy! Choćbym nawet...

Z ust obłąkańca pociekła taka sprośność, że Tespis, uszy zatykając, wyszedł.

Kierując się ku wyjściu, natknął się na Eurykratesa.

— Postaraj się wyprowadzić Ikarjosa, — rzekł doń: — jest to twój szwagier. Ja zaś idę uprzedzić swoją Likorydę — niech przyprowadzi Ifinoję do nas. W razie potrzeby zwołam zgromadzenie ludowe. Nie poto obraliśmy go demarchą, by nam obywatelki nasze sromocił; chwała bogom, nie żyjemy we Frygji!

Eurykrates usiłował dotrzeć do Ikarjosa; nie była to wszakże rzecz łatwa.

Filochoros, wściekły, że nie dano mu się napić, szukał zaczepki z właścicielem fatalnego mieszka. Zaledwie mógł słowa wymawiać, lecz widać było, że dusi go złość.

— Złodziej, rabuś! Widzicie go, ile sów zagarnął.

— No, twoich w każdym razie jest tu niewiele, — zawołał ktoś z obecnych.

Inni atoli stanęli po jego stronie.

— Cóż, że nie jego? Zato wszystkie są nasze!

— Ja trzymam z narodem, — ciągnął Filochoros. — Ja zawsze z narodem! Złodziej, rabuś! Oddaj, coś nagrabił!

Wyciągnął rękę ku srebru, lecz, straciwszy równowagę, powalił się na glinianą podłogę i legł nieruchomy, jak kłoda.

Wszyscy osłupieli: nigdy jeszcze nikt podobnego nie widzieli.

— Co to? Umarł?

— Naprawdę, umarł.

— Hej, demarcho! Filohoros umarł.

Demarcha, który przed chwilą dopił był ostatnich kropel wina wprost z mieszka, ocieźżale powstał z miejca.

— Ja jestem demarchą! — ksztusil: — kto przeciwko mnie?

Chciał podejść do miejsca, kędy leżał Filochoros, lecz nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Zachwiał się.

— Co się dzieje, mężowie! Snadź i mnie przyjdzie umierać.

— I nam! I nam! — ozwały się krzyki innych. — Wszyscy jesteście potraci!

— Truciciell Truciciell!

Demarcha, silny jak byk, chwycił marmurowy blat stołu, obficie winem zlany; inni uzbrowili się w laski. Wszyscy rzucili się na Ikarjosa.

Puhar Krzywdy dokonał swego.

X.

Erygona siedziała na swem miejscu zwykłym i przędła. Wszystkie myśli jej były przy ojcu.

— Jak go tam teraz wszyscy honorują, jako zwiastuna łaski bożej i bożej Ireny! O, Djonizosie, bądź błogosławion za swe przyjście! Teraz, teraz zakwitnie osada nad Erazynem.

Wtem wydało się jej, że ktoś zzewnątrz jak-gdyby drapie do drzwi wejściowych. Jęła nad-słuchiwać: drapanie powtórzyło się jednocześnie z jakimś żalosem skomleniem.

Pobiegła otworzyć drzwi. Mera! Co to znaczy? Smutnie zwiesiwszy uszy i ogon i jakby sku-

liwszy się w sobie, wierna suka podpełzła do stóp swej pani.

Pod Erygoną ugięły się kolana.

— Mera! Gdzie ojciec?

Suka wskazała mordą ku wyjściu. Erygona opuściła głowę.

— Cóż? Skoro iść, więc pójde.

Wyszła, drzwi zostawiając otwarte. Zszedłszy do Erazynu, skierowała się w dół za jego prądem. Zrazu szła w tępe jakowemś zapomnieniu, z głową opuszczoną. Potem, głowę podniósłszy, ujrziała słońce, chmurami otoczone.

— Heljosie, powiedz! Czy ojciec mój żyje?

Chmury coraz bardziej gęstniały wokół słońca, wreszcie przesłoniły je zupełnie.

Wtenczas splotła ręce na głowie i jęła zawodzić. Przechodzący, węglarze pentelikońscy, trwożnie spoglądali ku niej: nie były to słowa, był to przeciągły jęk. Zwolna jednak jęk ów począł oblekać się w słowa:

Czemu szumisz, falo Erazynu,
Czemu ból mój zagłuszasz i żal?...

Sama na ludzi i na ich wołania uwagi nie zwracała.

Doszedłszy do zakrętu, gdzie ruczaj zawraca na południo-wschód, Erygona również zwróciła kroki w tę stronę, nie bacząc na szczekanie Mery, która w innym wołała ją kierunku. Była pewna, że ojciec przedewszystkiem udał się do Maratonu.

Jednakże, nie doszedłszy do miasta, nagle przystanąła. Otoczyła ją gromada włościjsian i wło-

ścijanek, lecz ona nie poznawała nikogo. Zwracała się do jakiejś osoby, dla innych niewidzialnej. Tylko Mera osobę tę czuła i skomlała cicho.

— Dzięki ci, łaskawy! Wiedziałam, że nie zapomnisz o mnie. A więc tam go niema? Jest tam? A dusza jego jest u ciebie? I dusza matki także? I ja zobaczę ich oboje?

— Patrzenie, uśmiechnęła się! — szeptali otaczający.—Ale oczy, oczy! Zapatrzone w jakąś dal, a raczej w głąb wewnętrzną... A na czole pieczęć... Dzieci, dzieci! Jest to pieczęć... tej, której imienia strach wymówić.

Erygoną zwróciła się znów w górę Erazynu, do jego zakrętu. Znów ją śpiewać:

Na polanach Djonizosa,
Skroś rosistą, wonną noc,
Pod tympanów dźwięk donośny
Sunie dusz świetlistych rój...

Tłum szedł z początku za nią, wkrótce atoli się rozproszył. Na zakręcie ruczaju Mera znów ją usilnie szczeakać. Erygoną poszła za nią.

Zapadał już zmierzch, gdy podchodziły do Pteleonu. Nikt nie wyszedł na ich spotkanie. Przeszły przez ulicę główną. Miasto zdawało się jak wymarłe. Przed jednym dużym domem, którego drzwi były zamknięte, Mera poczęła szczeakać wściekle; poczem, jakby ochłonawszy, zawyla żałośnie i poszła dalej. Erygoną wciąż szła i śpiewała, na nic się nie oglądając.

U bramy trykoryckiej spotkały ją dwie dziewczyny; ujrawszy ją, usunęły się bojaźliwie na bok.

— Likorydo, kochana, co to znaczy? Czy to Erygoną, czyli duch Erygony?

— Zawołaj na nią, Ifinojo, wszak znasz ją.

— Erygoną, Erygoną!

Lecz w odpowiedzi posłyszały tylko słowa pieśni:

Czemu szumisz, falo Erazynu...

— Hekato potężna! — wykrzyknęła ze zgrozą Ifinoja: — więc to — umarła?

— Nie, — odparła Likoryda, — ona żyje. Ale czy spostrzegłaś pieczęć na jej czole?

— Jaką pieczęć!

— Pieczęć Persefony, — szeptem dodała Likoryda. — Osoby takie nie żyją długo. Pójdźmy, powiemy o wszystkim ojcu.

Erygoną tymczasem była już daleko. Wciąż idąc śladem, wskazanym przez Merę, przeszła przez bagno do pagórka, na którym samotnie sterczał wiąz. Tu Mera przystanęła i zawyla głucho. Ziemia pod wiązem była spulchniona, jakgdyby świeżo wzruszona łopata. Na ziemi leżał głaz; na głazie czyjaś ręka nieudolna wydrapała napis: „Ikarjos“.

Erygoną przestała śpiewać.

— Znów jesteś ze mną, łaskawy? — rzekła łagodnym niezemskim głosem: — wołasz mię do siebie? Do niego, do niej — i do siebie? Marzyłam wciąż o tem, komu też wypadnie dziewiczy pas mój rozwiązać? I, oto, przyszedłeś ty i rozwiązujesz. Poddaję się woli twojej.

I ją pas swój odpinać...

XI.

Nazajutrz rano dziewczęta zebrały się znów w gaju wiązowym Artemidy, ale nie poto, aby śpiewać i płaszać. Trwożnie cisnęły się wszystkie wokół Antjaniry; co do Filomeli, to ta, tak wprzódy dumna dziewczyna, była do tego stopnia zawstydzona i upokorzona, że aż budziła litość swym wyglądem.

— Czy wszystkie są tutaj?—spytała Antjanira. Korynna jęła liczyć:

— Dwie są nieobecne: Likoryda i Ifinoja.

— Na te czekać nie będziemy. Tespis nie kazał im się wydalać: obawia się, aby Ifinoji...

Urwała, zoczywszy błagalny wzrok Filomeli.

— Antjaniro, kochana, powiedz, jak się to wszystko stało:— rzekła Kallistò.— Od ojca mego nic wydostać niepodobna, — nic, powiada, nie pomnę. I ocknął się dopiero wczoraj wieczorem, po tem, gdyśmy go z matką i niewolnikiem Ksantjasem przenieśli z leschy do domu.

— Co tu opowiadać?—niechętnie odburknęła Antjanira. Pili napój Ikarjosa, pili, aż, oszaławszy, zabili jego samego.

Filomela podniosła głowę.

— Ojciec mówi, że zabito go słusznie: w napoju była trucizna, i od niej wszyscy poszaleli.

— Jużby lepiej nic ojciec twój nie mówił, a i ty z nim razem... zaczęła córka Eurykratesa, ale natychmiast tego pożałowała, widząc, że Filomela wybuchła płaczem... Wybacz, kochana, nie chciałam sprawić ci przykrości, ale wiesz przecie,

że Ikarjos jest wujem moim. Nie, był on trucicielem: dał im tyle, ile dać było wolno, i ile się godziło, lecz oni sami zabrali mu resztę. I jego samego zabili i sami legli pokotem. Tylko, że oni wstali, a Ikarjos już nie wstał. I wtenczas ojciec mój pospołu z Tespisem pogrzebali go za bramą trykorycką, na pagórku, pod więzmem.

— Tak, moje drogie:—ciągnęła dalej;—krew zawisa nad nami, krew rodzima. Trudno będzie zmyć tę zmazę. Nie będziemy już udziału brały w święcie Artemidy w Brauronie.

Dziewczęta się rozplakały.

— Ale cóż tu począć? Co począć?

— Nad tem właśnie radzą ojcowie nasi na klepisku za miastem. Zobaczymy, czy nie znajdzie Tespis jakowego wyjścia.

Dalszą rozmowę przerwało przybycie obu nieobecnych. Obie były półnieprzytomne. Ifinoja trzęsła się, jakby w gorączce, Likoryda zaś, równie blada i wzburzona, daremnie usiłowała uspokoić towarzyszkę.

— Oj, dziewczęta, oj, miłe, nie chodźcie, nie chodźcie! Dość, że ja tam byłam. A pies wciąż wyje, i wyje. Tamta kołysze się, a pies wciąż wyje.

— Co takiego? Co takiego?

Likoryda na migi przywołała Antjanirę.

— Co się stało?—spytała tamta.

Likoryda wzruszyła ramionami:

— Pobiegła. Cóż było począć? Przez bramę trykorycką. Za tem wyciem psa. No, i—zobaczyła.

— Co zobaczyła?

Likoryda szepnęła jej do ucha:

— Córka Ikarjosa powiesiła się nad jego grobem. Ja nie widziałam, ale ona widziała. No, a po drodze dowiedziała się też i o innych rzeczach, których znać nie powinna. I wróciła, jak widzisz, z pieczęcią Persefony na czole.

Ifinoja posłyszała słowa ostatnie.

— Pieczęć Persefony? Głupstwo! To zupełnie nie to! Ty wiesz przecie, Filomelo! Mój ojciec sprzedał mnie twojemu za puhar wina...

— Milcz, szalona, — krzyknęły wszystkie na Ifinoję, — widząc, że Filomela zadygotała w napaędzie blizkim obłądu.

— Milczeć? Dlaczego? Nie, idę do demarchy. My jesteśmy ubodzy, ale jesteśmy uczciwi. A teraz będziemy też bogaci. Demarcha nie pożałuje kiesy. Żegnajcie, drużki: niemasz dla mnie miejsca pośród was: nie jestem ja już obywatelką, jestem..

Nie zwracano już na nią uwagi; wszystkie były wystraszone przypadłością Filomeli. Ta miotła się przez długą chwilę, wreszcie jednak przyszała do siebie i słabym głosem spytała:

— Gdzie ta nieszczęśliwa?

Teraz dopiero obejrzano się za Ifinoją. Ktoś przypomniał jej słowa: „Idę do demarchy”. Lecz Filomela pokiwała głową:

— Nie sędzę. A zresztą pójdę jej poszukać.

Poszła, wzięwszy z sobą Androtymę. Minęła godzinę. Wrócili blade, milczące.

— No, cóż? Gdzie jest Ifinoja?

Filomela milczała w dalszym ciągu. Androtyma, pod naciskiem towarzyszek, odrzekła wreszcie:

— Zaszła gwiazdeczka Pteleonu.

— Gdzie?

— Nad grobem Ikarjosa.

— Dziewczęta, pójdźmy do domu! — zawołała Antjanira. Trzeba spytać naszych matek: niechaj zgromadzą się u kapłanki Demetry!

Wziąwszy Likorydę pod rękę, udała się w drogę. Pozostałe poszły za nią.

Filomela i Androtyma zostały same. Pierwsza, wciąż dotychczas milcząca, podniosła oczy na towarzyszkę i uśmiechnęła się cicho.

— Wołała też i ciebie?

— Tak.

Pieczęć Persefony była na obydwóch.

XII.

Srożyła się jakgdyby jakaś zaraza. Nim pochowano Erygonę obok ojca, już wypadło grzebać Ifinoję. Po nich znaleziono Filomele i Androtymę, które powiesiły się równocześnie. A teraz spoczęła pieczęć Persefony i na pozostałych, oprócz Antjaniry i Likorydy. Matki strzegły ich, z domu nie wypuszczając, lecz stan taki nie mógł trwać wiecznie.

Za radą Tespisa, który zastępował demarchę, postanowiono wysłać gońca do Aten, do króla Pandjona. Posłano Filochora, który służył, jako wyborny piechur. Z Pteleonu do Aten było około sześciu mil; lecz Filochoros, który wyszedł był przed świtem, pod zachód słońca był już z powrotem.

Czekano nań na klepisku.

— No, cóż?

— Król Pandjon rozkazał, co następuje: Dziewczętom związać ręce i strzec ich, każdej z osobna, póki sam on nie przyjedzie. A przyjedzie w ten czas, gdy wróci z Delf teoria, którą był wyprawił, aby zasiągnąć rady boga. Do jego zaś przybycia niczego nie przedsiębrać.

Upłynęło dni dziesięć w trwoźnem oczekiwaniu. Nakoniec, jedźcy pancerni zapowiedzieli upragniony przyjazd ukochanego od bogów króla Pandjona.

Król zjechał w towarzystwie królowej Zeuksyppy oraz dwóch egzegetów ateńskich boga delfickiego. Królowa niezwłocznie kazała wołać do siebie Antjanirę i Likorydę. Przyhołubiła je i poleciła im obejść wszystkie matki oraz zapewnić je, że wszystko będzie dobrze i że miasto nie będzie do nowych ofiar zmuszone.

Król zaś rozkazał wszystkim obywatelom zgromadzić się w gaju Artemidy. Gdy zebrali się wszyscy, przemówił do nich w te słowa:

— Mężowie *enojscy*...

Wszyscy byli zdumieni. Co za imię?

— Mężowie *enojscy*, — powtórzył Pandjon z naciskiem, — rzeczą pierwszą, jaką mi bóg nakazuje, jest zdjęcie z miasta waszego pokalanego imienia „Pteleon“ i strącenie go w wieczną niepamięć. Odtąd imię jego będzie *Enoja* („Winnica“), na pamiątkę tego, że ono pierwsze otrzymało dar wina z rąk Ikarjosa, posła i zwiastuna boga nowoobjawionego, błogosławionego Djonizosa.

Podniosło się głuche szemranie. Zauważył to Pandjon i ciągnął dalej:

— Tak, błogosławionego! Ikarjos, dar jego wam zlecając, nauczył was, jak go należy używać; ostrzegł was przed puharem krzywdy. Mężowie *enojscy*, zapamiętajcie słowa moje: łatwiej bywa wyrzec się zupełnie jakowejś rozkoszy, niżli używać jej z umiarem. Umiejętność używania z umiarem odróżnia człowieka wolnego od niewolnika. My, Hellenowie, dumni jesteśmy z tego, że urodzeni jesteśmy dla wolności, nie zaś dla jarzma. Dlatego to i dar wina powierzono nam. Lecz wy zlekceważyliście sobie przykazanie boga. Napiwszy się nad miarę, *upiliście się* i po pijanemu wielu dopuściliście się zdróżności, a wreszcie zamordowaliście nawet wybrańca i wysłannika Djonizosowego. Uczyniliście to po pijanemu; czy mniemacie, że to winę waszą łagodzi? Tak mniemac będą niewolnicy; lecz wedle mniemania helleńskiego, okoliczność ta winę wdwójnasób wzmaga. To też prawodawca helleński takie wyda prawo: ktokolwiek po pijanemu dopuści się zbrodni, ten podwójnej ulegnie karze — raz za zbrodnię, powtóre za pijactwo.

— Zamordowaliście posła Djonizosa i wtrąciliście przez to do grobu jego córkę, ukochaną przez Djonizosa Erygonę. Za to zaciążył gniew boży nad wami: bóg na córki wasze zesłał tęsknicę śmierci. A oto teraz Apollo przez usta moje wam ogłasza, jak macie gniew ów przebłagać. Mężowie *enojscy*! Bogów zjednywać należy czystością serca i dobrymi uczynkami; mają wszakże znacze-

nie w życiu naszym i nabożeństwa i obrzędy, jako oddziaływania na nasze uczucia i na wyrazy naszej woli. Nie lekceważcie sobie obrzędów: głęboka tkwi w nich treść. Ikarjos i Erygona staną się dla was odtąd — herosami. Prochy ich przeniesiecie ku źródłom Erazynu, kędy stoi ich futor, tam zbudujecie im kaplicę i czcić ich będziecie coroczną objatą. Z czasem powstanie tam osiedle, które, na pamiątkę herosa, otrzyma imię — *Ikarja*. Aby dziewczęta od śmiertelnej zwolnić tęsknicy, sporządzić im musicie pętle nieszkodliwe, zamiast owych zabójczych, na których zawisły ich przyjaciółki. Kto z was mocne wyrabia sznury?

Wysunął się Filichoros:

— Ja, wielki królu!

Pandjon popatrzył nań z uwagą:

— To ty chodziłeś do mnie do Aten?

Tak, miłośniwy panie.

Pandjon naradził się z obu egzegetami, których miał przy sobie, jako asesorów. Poczem rzekł:

— Filochorze, wielki jest grzech twój przed bogiem; lecz odkupiłeś go już i niedolą swoją i czynem swoim, więc bóg usługi twoje przyjmuje. Idź i przynieś nam dziesięć mocnych sznurów, po dziewięć, dziesięć łokci każdy.

Filochor udał się, aby spełnić zlecenie, gdy tymczasem król podjął w dalszym ciągu swą przemowę:

— Temu, o czem mówią, wy, mężowie enojscy, dacie początek, cała wszakże Attyka pójdzie za waszym przykładem: jakoż wszystkim wrazi się w pamięć, że należy obawiać się puharu krzywdy.

I jako kwiat wykwita na mogile, tak ze zbrodni waszych i nieszczęść wykwitnie święto wesole — święto Djonizjów Sielskich. Owe pieśni tułacze, które Erygona śpiewała, ojca swego szukając, należy zebrać z tych urywków, jakie ludzie przechodzący pochwytili; są to pieśni święte, w których kocha się Djonizos. Miejsca zagubione uzupełni Tespis, któremu polecam, aby stał się założycielem nowego obrzędu. Dziewice zaś wasze śpiewać będą te pieśni podczas swoich zabaw. Wam zaś, mężowie, nakazuję rzecz następującą, jako odkupienie tej zdrożności, którą popełniliście na radzie. Młodem winem, które dojrzeje na święto Djonizjów Sielskich, napełnijcie mieszki kozie, wysmarowawszy oliwą ich gładką i bez tego powierzchnię. Poczem — i tu król się uśmiechnął — urządzić będziecie o nie zawody. Niechaj współzawodnicy na jednej nodze na nie wskakują; będą się oni chwiać, potykać — niechajże! Kto dłużej od innych się utrzyma, ten będzie zwycięzcą. Owo zaś wesole potykanie się i zataczanie niech ustrzeże was od sromotnego zataczania się i potykania pod oszalamiającem działaniem trunku, ponad miarę użytego.

I długo jeszcze tłumaczył dobry król wieśniakom szczegóły i treść nowego święta; lecz oto od strony miasteczka ukazał się pochód. Naprzędzie szła królowa Zeuksyppa wraz z żoną Tespisa, kapłanką Artemidy; za niemi Antjanira i Likoryda. Dalej szły dziewczęta ze związanymi rękami — Korynna, Nikandra, Pandora, Kallisto i inne w otoczeniu swych matek; obok szły młodsze ich sio-

stry—podlotki i dziewczeczki. Zamykał pochód Filochor wraz z młodzieńcami, niosącymi sznury.

Na rozkaz króla sznury przywiązano każdy do dwóch drzew, stojących blisko siebie; otrzymano dziesięć *huśtawek*.

— Dzieci, zawołał król do dziewczeczek: — po huśtajcie swe lalki.

Lalki przywiązano do huśtawek, i dziewczynki jeły je bujać, odrzucając je jedna drugiej, z piśkiem i sykaniem. Gdy zabawa była już w pełni, król rozkazał, aby przyprowadzono doń związane dziewczęta—a było ich wszystkich dziesięć. Zrazu zachowywały się one obojętnie wobec wszystkiego, co się działo, powoli wszakże uciecha młodszych jeła się i im także udzielać: pieczęć Persefony znikła z ich czoła.

— Rozwiążcie im ręce! — Krasawice, pohuśtajcie swe siostry!

Rozkaz został wykonany. Widać było, jak ożywiały się one coraz bardziej; policzki ich zagrały rumieńcami.

— A teraz pohuśtajcie się same!

Ten rozkaz wykonany został jeszcze chętniej. Zadzwoił znowu srebrny śmiech dziewiczy, jak w ów dzień śliczny, gdy pieśń Artemidy rozbrzmiewała w tym samym gaju.

Likoryda podeszła do huśtających się i zaśpiewała:

Czemu szumisz, falo Erazynu,
Czemu ból mój zagłuszasz i żal...

Śmiech umilkł, zaduma owładła rozbawione-

mi, lzy zabłysły w ich oczach. Ale były to lzy dobre, uzdrawiające. I długo jeszcze, przy dźwiękach śpiewu Likorydy huśtały się ocalone dziewczęta tam i z powrotem pod zielonem sklepieniem zielonego gaju.

Gdy już były znużone, wezwała je do siebie królowa, ucałowała je i rzekła do nich:

— A jednak, ślicznotki, za cztery pełnie miesięczne będzie święto Artemidy w Brauronie, i ja przyjadę, aby rozdawać wieńce. Wy tam będziecie?

— Będziemy, miłościwa pani, będziemy wszystkie, skoro bóg pozwoli.

— Pamiętajcież więc — zbyt długo na was czeka już wasz wieniec.

Już chciano się rozchodzić, lecz król raz jeszcze zabrał głos:

— Mężowie enojscy, wasze prawo obierać sobie demarchę pozostaje w mocy! Wszelako żaden z tych, którzy przelali krew Ikarjosa, nie może składać za was ofiar bogom nieśmiertelnym. Dlatego też demarchą waszym zostanie Eurykrates, jego zaś doradcą najbliższym będzie miły bogom Tespis. Ale to jeszcze nie wszystko. Ferekratesie, synu Eurykrata, i Likorydo, córko Tespisa, pójdźcie tutaj.

Młodzieniec i dziewczyna podeszli.

— Ferekratesie, u źródeł Erazynu stoi osada, która należała do twego nieboszczyka wuja Ikarjosa. Osada to niewielka, ale wielką ma przed sobą przyszłość — wyrośnie z niej osiedle Ikarja, uświęcone łaską Djonizosa. Tam masz się prze-

nieść, poślubiwszy córkę Tespisa — nie bardzo pono krzyw jej... — Nie zaraz, dodał Pandjon, widząc, że dziewczyna zarumieniła się po uszy. Naprzód niech w orszaku niedźwiedzie posłuży Artemidzie i służbą gorliwą zjedna sobie jej łaskę. Tespis nie ma potomstwa po mieczu, i niechże imię jego święci się w waszem. I kiedyś, wróży mi serce moje, Tespis z Ikarji ozdobi uroczystość ateńską Djonizosa takim dziełem, które i jego, i nas rozśławi po wsze czasy i wśród wszystkich narodów. Mężowie enojscy, słońce zaszło za Parnetem i nad morzem zabłysły pierwsze gwiazdy. Rozchodźcie się w pokoju do domów, zabierając swe córki—nic im teraz nie grozi. My zaś z królową zapraszamy się do ciebie, Tespisie, w gościnę na noc nadchodzącą.

ZAKŁĘTY DWÓR

I.

Na dziedzińcu Demetry Thesmofory panował tego dnia szczególny gwar. Cały dzień poprzedni zeszedł kobietom na poście, na modłach, na uroczystych procesjach; ale już pod wieczór, po spożyciu uczty uroczystej, zaczęła się radość, poranek zaś dnia następnego przyniósł święto dumy macierzyńskiej, Kalligenję. Teraz „młódki“ stanowią przedmiot niekiedy tkliwej, częściej dobrodusznie żartobliwej troski ze strony „staruch“: która też otrzyma wieniec? Tymczasem wisiał on na kamiennej ręce posągu Kalligenji, stojącego na placu Pniksa, przed namiotami, między posągami Demetry i Kory: przysądzenie wieńca poprzedzić musiał szereg przygotowań, z których pierwszym był wybór grona sędziowskiego.

Wedle obyczaju grono to składać się musiało z trzech kobiet, oczywiście z pośród „starych“. Co do przewodniczącej nie było wątpliwości: wszystkimi głosami przeszła królowa Praksytea. Nie było to obowiązkowe; w obliczu Demetry wszystkie niewiasty były równe, jednakże wśród obec-

nych nie było zda się, ani jednej, którejby ta pani dostojna nie wyświadczyła tej lub owej przysługi; z pośród zaś malutkich bohaterów uroczystości niejeden snadź zawdzięczał jej to, że ujrzał światło dnia. Lecz co do dwóch pozostałych członkiń sądu, żywe toczono spory: zgłaszały pretensje te, co same onego czasu otrzymały wieniec Kalligenji, jednocześnie zaś i te, co miały śród „młódek“ największą liczbę córek. Przygotowywały się też i „młódki“: naprzód odśpiewały chórem pieśni ku chwale Kalligenji, przeplatana wzajemnymi docinkami i żarcikami, potem udały się do namiotów aby godnie przystroić — każda — swe dzieciątko.

Nareszcie, donośny głos niewiasty-herolda oznajmił, że przygotowania skończone, i wszyscy jęli gromadzić się na placu. Przed posągami Kalligenji stały długie stoły, nakryte miękkimi skóry owczemi: na nich polecono rozłożyć maleństwa w powijkach, wszystkie rządkiem. Skoro to uczyniono, matki oddaliły się na stronę, królowa zaś z asesorkami jęły obchodzić stoły, w znacznym jedna od drugiej odstępnie. Nad głową każdego niemowlęcia stała puszka nakryta, z otworem pośrodku pokrywy; w ten to otwór kładzidno liść mirtowy dzieciątku, które zyskało uznanie.

Jakkolwiek czyniono to zazwyczaj za trzeciem dopiero obejściem, jednakże już za pierwszym dostrzeżono, że wszystkim trzem kobietom szczególniej podobał się jeden berbec jędrny, którego spowicie świadczyło raczej o troskliwości, niż o możliwości rodziców. Krągła, pełna twarzyczka, jeszcze bardzo daleka od dokładności profilu

attyckiego; jasne, zielonkawe-modre oczęta; rączyny po długich wysiłkach udało się mu wydobyć z powijków — powodzenie to wywołało w nim pogodny stan ducha, — i maleństwo, przebijając oswobodzonymi piąstkami, uważnie je rozglądało i, zda się, było z nich zadowolone.

Za trzeciem obejściem sekretarka zliczyła te niemowlęta, u których w puszkach znalazło się po trzy liście; takich było około dziesięciorga; te zostawiono, resztę polecono zabrać.

Pozostałe nakazało grono sędziowskie rozebrać; rozpoczęło się badanie wtóre, uważne i wszechstronne, przeplatane naradą. Gdy się skończyło, królowa podeszła stanowczo do tego niemowlęcia — był to chłopiec — które odrazu podobało się wszystkim. W tej samej chwili niewiasta-herold zdjęła wian z ręki Kalligenji i podała królowej.

— Matko tego niemowlęcia, wyjdź!

Z tłumu otaczających wystąpiła, promieniejąc dumą i szczęściem, młoda włościżanka, tęga i urodziwa, o rumianych ogorzałych jagodach.

— Coś za jedna? Czyja i skąd? — spytała królowa.

— Neobula, żona Hagnona, z nadmorskiego futoru pod Hymettem.

— Hagnona? — ze zdziwieniem raz jeszcze spytała królowa. — Pomnę żonę Hagnona, gospodarza z pod Hymettu: była w moich latach. Lecz już w zeszłym roku nie widziałam jej podczas święta Demetry.

— Była to pierwsza jego żona, królowo; umarła ona, bez mała, już dwa lata temu.

Praksytea znacząco pokiwała głową i półgłosem przytoczyła:

Niewłaściwa staremu bywa młoda małżonka.
Będzie-ż powolna mu, jako sterowi jest — łódź?

— A więc — ciągnęła dalej głośno i z naciśkiem—mamy przed sobą maleńkiego syna *Hagnona* i *Neobuli*.

Neobula zrozumiała przytyk:

— Królowo!—rzekła z wyrzutem. W wyrzucie tym tyle było szczerości, że Praksytea w okamgnieniu zbyła wszelkich podejrzeń.

— Nie obrażaj się córo — rzekła, całując Neobulę w czoło. — Bądź i nadal wierną żoną, iżby *Demetra* kochała cię i błogosławiła rodzinie twojej oraz twemu gospodarstwu. Jednakże, nim przysądzimy ci wieniec, musimy naprzód kilka zadać ci pytań. Przedewszystkiem, kędy są groby przodków twoich tudzież *Hagnona*, i czy gorliwie składacie im dary ofiarne w dni zaduszne?

— Groby naszych przodków są na przylądku *Zosterze*, o dwa stadja od świątyni *Apollina*; są to zdala widne kurhany. Składamy im, jak należy, dary w święto *Antesterjów* i *Genezjów*.

— Czy prawdę mówi?—spytała królowa, zwracając się do tłumu.

— Prawdę! Prawdę! — odpowiedziały dwa głosy; były to sąsiadki *Neobuli* z przyległych futorów, nocujące teraz razem z nią w namiocie podczas święta *Tesmoforjów*.

— Dobrze czynisz, córo; za to i wasze dzieci i potomkowie odpłacą wam tem samem. Lecz w są-

siedztwie z rolą *Hagnona* jest uroczysko i gaj *Anagira*; czy otrzymuje on od was objaty, należne wedle wszechhelleńskiego prawa?

Neobula odpowiedziała nie odrazu: lecz widok wieńca w dłoni królowej kazał jej pokonać wahanie.

— Co rok otrzymuje od nas błogosławiony heros kożę.

— Czy prawdę mówi? — spytała znów królowa. Tym razem atoli nie było odpowiedzi. — Skoro nikt nie potwierdza słuszności twego zeznania, to czy gotowa jesteś stwierdzić je przysięgą?

— Gotowa jestem, — odrzekła Neobula, po namyśle.

— Powtórz więc swe słowa, i w zakończeniu, dotykając główki niemowlęcia, rzeknij: na to przysięgam.

Neobula spełniła żądanie.

— I dobrze córo. Wielka jest moc herosów, ustępuje ona jeno mocy bogów nieśmiertelnych. A więc synowi *Hagnona* i *Neobuli* przysądza się wieniec *Kalligenji*; lecz jakież ma imię ten mały nasz zwycięzca?

— Królowo, — rzekła *Neobula*, rumieniąc się z radości: — *Hagnon* kazał mi, w razie zwycięstwa, ciebie prosić o danie imienia dziecku.

— Mnie? — spytała *Praksytea*. — Dlaczegoż nie chcecie dać mu imienia jego dziada? Ojciec *Hagnona*, o ile pomnę, zwał się *Archedemos*?

— Niemożna; *Archedemos* zowie się starszy syn *Hagnona*, od pierwszej jego żony, *Eurylity*.

— Masz słuszność, zapomniałam. Dajmy mu

tedy imię jego zwycięstwa; niechaj herold obwieści: wieniec otrzymuje Kalligenes, syn Hagnona i Neobuli.

Kobieta-herold wykonała rozkaz.

— Obywatelki! — dodała Praksytea, zwracając się do gromady. — Wieniec otrzymał jeden, ale zasłużonych jest dużo. Wszystkie matki, których dzieci otrzymały choć jeden listek, zapraszam do siebie na wieczerzę, do pałacu Erechteusza.

II.

Osada Hagnona stała w tem miejscu krętego wybrzeża sarońskiego Attyki, kędy góra Hymett, zstępując coraz niżej, spada wreszcie w morze, tworząc daleko wysunięty przylądek Zoster. I tutaj, zresztą, góra jakgdyby nie chcąc wyrzec się swego istnienia, pogrążywszy się w morze, powtórnie wypływa na jego powierzchnię w postaci okrągłej, przypominającej tarczę, wysepki pustynnej, Fabrydy. Droga z Aten wiodła, zresztą, nie wzdłuż wybrzeża, lecz dokoła Hymettu, wschodniem jego podnóżem. Droga tą udała się po przyjęciu u królowej Neobula wraz z sąsiadkami i niewolnicami, na dwóch mułami zaprzężonych wózkach dwukołowych. Sąsiadki rozstały się z nią, nie dojeżdżając do morza: sama więc, z piastunką i dzieckiem, podjechała do dworu, gdzie czekali na nią Hagnon z Archedemosem. Już zdaleka wywijiała ona wieńcem, otrzymanym od królowej; gdy pojazd się zatrzymał, podała niemowlę mężowi.

— No, *Kalligenesie*, — ozwała się znacząco — powitaj ojca!

Hagnon przyjął dziecko z pieśczośliwym uśmiechem.

— Godzien będzie swego brata starszego! — rzekł. — Wszak Archedemos otrzymał także swego czasu wieniec Kalligenji.

Neobula zmarszczyła brwi; to przypomnienie snadź nie przypadło jej do smaku. Hagnon dostrzegł jej niezadowolenie i, aby ją przejednać, rzekł do niej:

— A my pod twą nieobecność także sprawiliśmy ci uciechę: z bożą pomocą, nowa gospodyni niechaj wstąpi w nasz nowy dwór!

— Nie chcę.

Hagnon osłupiał.

— Jakto nie chcesz? Alboż nie ty właśnie wymyślałaś wciąż na starą naszą chatę i doczekać się nie mogłaś przeprowadzki do nowego domu?

— Nie chcę dlatego, że jeszcze jest niegotów.

— Czegóż mu braknie?

Neobula z dziecinnym śmiechem rzuciła się mężowi na szyję.

— Miły mój, nie wiesz jeszcze wszystkiego. Byłam w gościnie u królowej. Tamte, — wskazała ręką na wieś, kędy mieszkały sąsiadki, — tamte nie były, lecz ja byłam. Ach, miły, nie wyobrazasz sobie, co to za piękności. Dziedziniec otoczony kolumnadą. Pośrodku dwa słupy wysokie; jest to wstęp do komnaty królewskiej. Otóż, postanowiłam sobie, że i u nas musi być wstęp tak urządzony.

— Co tobie w głowie, opamiętaj się?! Czyż możemy równać się z królową?

— Niema potrzeby równać się. Postawisz mi tylko dwa słupy, a nad nimi ozdobny fryz z tryglifami i frontonem; oto wszystko. I to z łatwością możesz dobudować do tego, co już jest.

— Z łatwością, oczywiście. A skądże ci wezmę takie dwa olbrzymie drzewa?

— A oto!

Pokazała mu ręką na dwie sosny, wysoko wzbijające czuby pośród wiązów i platanów sąsiedniego gaju. Atoli twarz Hagnona przybrała wyraz bardzo poważny.

— Zapominasz, kochanie, że jest to gaj Anagira.

— Nie zapominam. Pamiętam doskonale.

— Posłuchaj, pieśczocho, rzuć swe fantazje, sprawa przedstawia się poważniej, niż myślisz.

Spuścił oczy, i po chwili, z lekkim drżeniem w głosie, podjął:

— Pamiętasz, jak umarła pierwsza żona moja, Eurylita?

— Pamiętam: wpadła w studnię i utonęła.

— Otóż to właśnie, że nie wpadła.

Neobula odskoczyła z przerażeniem:

— Co to znaczy?

— Studnia była wykopana przezemnie na działce świętej łąki Anagira, która klinem wrzyna się w mój grunt. Sądziłem, że mam prawo to uczynić, ponieważ wszyscy przychodzący, aby pokłon oddać herosowi, do mnie udają się po wodę...

— Więc cóż?

— Gdy studnia była gotowa, posłałem Eurylitę, aby zaczerpnęła z niej wody dla podlania ogrodu. Było to pod wieczór. Staruszka poszła, lecz niebawem wróciła pędem — jak dziś widzę jej oczy szeroko rozwarłe. „Nachyliłam się powiada, aby zdjąć wiadro z kołowrotu, gdy w tem z głębi wysuwają się jakieś ręce długie, białe i chwytają mię za szyję“.

— Potężna Hekato!

— Krzyknąłem na nią, aby rzuciła brednie, i powtórnie posłałem ją po wodę. Poszła niechętnie — i nie wróciła. Była to kobiecina potulna i mnie lękała się bardziej, niż Anagira.

Neobula wymownie potrząsnęła głową.

— Potem, co się stało, nie mogłem już składać Anagirovi uprzednich ofiar i darów; między nami zapanowała jakby wojna. I spodziewam się, że uwolni on mię od swego sąsiedztwa i pójdzie sobie gdzieindziej.

— Słusznie.

— I co powiesz? Anagiros punktualnie sam brał ode mnie należną sobie daninę, po kozie w każdy dzień spominkowy.

— I dzięki mu za to. Tak właśnie powiedziałam królowej, bo inaczej nie otrzymałby nasz synaczek wieńca.

— Znużyła mnie ta walka, więc postanowiłem wyjednać sobie przebaczenie u dostojnego herosa, iżby po dawnemu opiekował się nami, otrzymując od nas, co mu się należy.

— No, nie, Hagnonie, z tem się nie zgadzam, ustępować nie myślę, ani przed nim, ani przed

tobą — nie jestem ja Eurylitą. Trzeba tak zrobić, aby Anagiros nas opuścił, a w tym celu przedewszystkiem należy zrybać te dwa drzewa. W ten sposób jednocześnie i mnie się przypodobasz i jemu dokuczysz. A dopóki nie będzie to wykonane — nie jestem ja gospodynią w twoim nowym dworze!

To mówiąc, wstała i, polecivszy piastunce nieść za sobą dzieciątko, szybkimi krokami oddaliła się do starej chaty, w której się zamknęła.

III.

W najbliższy dzień spominkowy znów zagadkowym sposobem znikła koza ze stada Hagnonowego. Cały dzień szukał jej Archedemos wśród skał i zarosli Hymettu; wreszcie, noc zniewoliła go poniechać dalszych poszukiwań i wrócić do domu nowego, w którym mieszkał z ojcem.

Księżyc wypływał już z poza ciemnego grzebienia Olimpu attyckiego, gdy Archedemos zbliżał się do gaju Anagira, leżącego na pół drogi między Hymettem a domem Hagnona. Zatrzymał się: iść prosto, czy zboczyć na stronę, aby obejść posiadłość wroga?

Wydało mu się, że gaj żyć zaczął jakimś cichym tajemniczym życiem. Dęby i platany szumiały w nocnym wietrzyku; lecz skroś szumu tego słyhać było czyjś jakgdyby śpiew, czyjaś jakgdyby mowa. Jął nadśluchiwać: śpiew był żałobny, jak podczas pogrzebu; słyhać też było słowa, lecz zrozumieć ich nie mógł. Dreszcz przebiegł mu po grzbiecie: uciekać, uciekać co rychlej! Ba, jakże

uciec? Owładła nim jakaś dziwna, niepokonana moc: zdało się, że powietrze zastygło naokół niego i nieodpartym prądem niesło go w stronę złowieszczego gaju.

— Zginałem, zginałem! — powtarzał sobie. To potężne dryady tańczą i śpiewają, a ja je podśluchałem!

Przypomniał sobie opowieść o Bakisie, obłąkańcu attyckim, który też razu pewnego podparzył i podśluchał nimfy i odtąd stał się nimfoleptem, to jest „opętany przez nimfy“. Postradawszy rozum, tułał się po wsiach i wygłaszał słowa bez związku, z których ludzie pobożni układali wyrocznie. Ten i ów go pożywił, ten i ów napił i odział, atoli częściej zdarzało mu się przymierać głodem i nocować pod otwartym niebem, malcy zaś rzucali weń kamieniami.

— To samo będzie i ze mną: pomyślał sobie i wzdrygnął się.

A jednak nie był w możności oprzeć się tajemniczej mocy, która gnała go coraz bliżej do gaju Anagira. Coraz wyraźniej słyhać było pieńie pogrzebowe; coraz głębiej w duszę jego przenikały te smutne, rozdzierające dźwięki. Zapomniał nawet o strachu: zastąpiło go jakieś uczucie rzwne, jakiś żal, jakiego nie czuł od dnia zgonu swej matki.

Oto widać już postaci śpiewających — tak, są to niewątpliwie dryady. Splotły się w koło taneiczne i cicho, płynnie chodziły dokoła swych sióstr, stojących pośrodku z rozpuszczonemi włosy i w czarnym stroju. Cóż to jest? A więc nie nad umarłemi

placzą, ale nad żywemi? Tak, najwidoczniej: te dwie płakały, pozostałe zaś zawodziły:

Piosnkę ostatnią, pieśń pożegnalną

Słyszcie siostry, dziś z naszych ust:

Doleć okrutną, doleć fatalną

Wieści noc czarnych powiewem chust.

Dzień się zapali i dzień zagaśnie,

Poblednie złoto jutrzejszych zórz;

Gaj w wieczorowych oparach zaśnie,

Lecz was, siostrzyce, nie ujrzym już.

Chór umilkł, te zaś, które były skazane, z kolei podjęły:

Źródło zmartwychwstań, próg odrodzenia,

Znajduje w grobie człowieczy ród:

Lecz nas, gdy zrąbie topór zniszczenia,

Żaden, ach żaden, nie wskrzesi cud.

Druchny, śpiewajcie, śpiewajcie, drogie!

Pieśnią oplączcie smutny nasz los:

Duszę rozwieją wiatry złowrogie,

Ciało żelazny powali cios.

Nagle koło taneczne stanęło: nimfy spostrzegły zbliżającego się Archedema. On również zdążył im się przyjrzeć, i to uczucie smutku, które owładło przedtem jego duszą, ustąpiło teraz uczuciu nowemu—uczuciu zachwycenia wobec tej niewidzialnej, niesłychanej piękności. Teraz już nie lękał się on i nie czuł smutku, chętnie oddałby życie, ziemskie i zagrobowe, byle tylko pozwolono mu, choćby na chwilę, złączyć się z niemi, wstąpić w kolisko ich boskiego bytu.

Łańcuch się zerwał; jedynie obie skazane pozostały na miejscu, reszta podeszła ku skrajowi gaju. Ozwały się głosy:

— Oto nieprzyjacieli!

— Udusić go!

— Albo odebrać mu zmysły!

— Poco? Zali nie widzicie, że Kera śmiercionośna już siedzi mu na karku?

— Straszna Persefono! Wszak wkrótce po nich zstąpi on do grobu. I bogowie, jakąż okropną zginie śmiercią?

— Siostrzyce, spójrzcie, jaki on piękny! Nie, mnie go żal.

— I nam, i nam.

— Siostry, przyhołubimy go! Niechaj choć tę noc jedną spędzi w rozkoszach i miłości!

— Wart jest miłowania nimfy: sam Dafnis nie mógł być piękniejszy.

— Któraż będzie jego towarzyszką? Wiemy, wszystkieby rade. Chwytajcie mój szmaragdowy sznur, dziewczęta!

— Ja schwytałam! On mój!

— Winszujemy, Filiro! *).

— Wstyďte się, nimfy! Zapomniałyście o siostrach!

I korowód znów potoczył się wkoło. Archedemos, sam nie zdając sobie sprawy, co się z nim dzieje, znalazł się w kole tańczących: Filira ujęła go za rękę i tkliwie spojrzała mu w oczy. Ciepłą falą ogarnęło go szczęście; teraz wiedział, czem jest życie bóstw olimpijskich.

— Jestem twoją towarzyszką! Chcesz?

— Czy chcę? Bogowie! Ależ ja wciąż py-

*) „Filira“ — „lipa“.

tam sam siebie, czy to wszystko nie jest snem tylko?

— A może i naprawdę jest snem? — trzpiotowato spytała Filira, całując go w sta.

— Cicho! — ozwała się starsza. — Kręć się, koło! I znów żałobne popłynęły tony:

Piosnkę ostatnią, pieśń pożegnalną...

I znów smutek poprzedni ogarnął duszę młodzieńca. Ale rzecz dziwna! Uczucie szczęścia nie doznało przeto żadnego uszczerbku. Jednocześnie płakał on, patrząc na obie skazane, i zarazem upajał się czarem, czując dotknięcie ręki Filiry.

— Nimfo najmiłsza! — szepnął jej podczas pieśń żałobnych: — kim są te dwie, i czemu je opłakujecie?

— Spytaj ich sam, jeśli chcesz. Jednakże lepiej nie chciej!

Lecz on nie mógł nie chcieć. Gdy pieśń umilkła, pewnym krokiem wystąpił naprzód, nie wypuszczając jednak ręki Filiry.

— Dryady potężne, odpowiedzcie mi! O jakiej śpiewacie śmierci? Kto was zabije?

Jedna z płaczących, strząsnawszy łzy z rzęs, pilnie nań popatrzyła.

— Ty nas zabijesz!

Druga zaś dodała:

— Ale i sam będziesz przez nas zabity.

Archedemos wzdrygnął się.

— Filiro, najdroższa, co one mówią? Jęko we mnie serce, jakgdybym ocknął się ze snu, i z poprzedniego szczęścia nic nie pozostało.

Filira spuściła oczy na ziemię.

— Wszak uprzedziłam cię, abys nie pytał. Wy, ludzie, możecie być szczęśliwi tylko w nieświadomości. Ale poczekaj, pocieszę cię. Wymień mi jakieś życzenie swe, a ja je spełnię.

— Życzenie! Życzę, aby przestały płakać dwie nieszczęsne, aby były szczęśliwe i wesole, jak my.

— To życzenie ty sam możesz spełnić, skoro zechcesz; ale ty nie zechcesz. Nie, wymień mi inne.

— Innych nie mam; wszystkie zasnęły.

— To je obudź! Przypomnij, czego pragnałeś przez cały dzień miniony?

Archedemos przypomniał sobie i uśmiechnął się.

— Chciałem odnaleźć kozę, która zginęła w zarosłach Hymettu.

— To rozumiem. Szukał kozy, a znalazł nimfę. Lecz ja nie jestem obraźliwa. Chodźmy, pokażę ci twoją kozę.

Młodzieniec oniemiał:

— Żartujesz?

— Ja? Bynajmniej. Wszak nie powiedziałam, że ci ją oddam, tego nie mogę. Anagiros nie pozwala. Ale pokazać ci ją mogę. A dam tobie... I po raz wtóry go pocałowała, — dam ci... siebie. Przystaniesz? Warta jest nimfa kozy?

Znowu ogarnęła go fala rozkoszy. Filira zaś, miłośnie objawszy go rękoma, z powrotem powiodła go w stronę Hymettu. Księżyc świecił na niebiosach, i w gaju Anagira słychać było, zamierające zwolna, skargi nimf nad losem skazanych towarzyszek:

Piosnkę ostatnią, pieśń pożegnalną...

IV.

Był chłodny wieczór jesienny. Neobula z Archedemem siedzieli w świetlicy dworu nowego—rzeźwyście w świetlicy, wysokim ozdobionej portalem z fryzem i frontonem. Maleńki Kalligen spał tuż obok, w kołysce, przy matce. Neobula pieściła się z nim sama — niania jego, niewiasta pobożna, za nic nie chciała przenieść się do dworu świętokradzkiego i oświadczyła, że prędzej dałaby się zabić.

Oboje czuli się nie swojo. Archedemos tęsknie wsłuchiwał się w posępne wycie wiatru jesiennego i daleki grzmot fal sarońskich.

„W taką noc one nie wychodzą“: — pomyślał sobie.

— Archedemie, opowiedz mi cokolwiek!

— Co mam ci powiedzieć, mateczko?

— Cokolwiek. Tak często teraz chodzisz po nocach, czyż nigdy nie miewasz jakich przygód? Archedemos westchnął i nic nie odpowiedział.

— Ah, dobrze, zem przypomniała sobie. Kiedyś wygadałeś się, żeś widział kozę, porwaną przez Anagira, lecz odebrać jej nie mogłeś. Opowiedz, jak to było... No, widzisz, uśmiechnąłeś się; śnać nie przykre to jest wspomnienie. Opowiedz!

— Skoro życzysz sobie tego, mateczko. Otóż, naszukałem się dzień cały, stopy pokrwawiłem o kolce krzewów, podarłem odzież o przekłete na Hymecie igły — napróżno. Słońce zaszło; należało pomyśleć o powrocie. Idę, idę — i nagle w połowie drogi...

Znowu uśmiechnął się i umilkł.

— No, i co?

— I nagle, w połowie drogi... jakiś głos mówi do mnie: „Chodźmy!“

— Co za głos?

— Wewnętrzny, mateczko, — odpowiedział Archedemos, czerwieniąc się, jak rak.

— Dużo jakoś z ojcem, w ostatnich czasach, tych głosów wewnętrznych słyszycie. Cóż dalej?

— Poszedłem z powrotem.

— Pod Hymett?

— Pod Hymett.

Neobula wzruszyła ramionami.

— No, i cóż dalej?

— Poszedłem do podnóża góry i czuję, że jakgdybym szedł nie własną mocą, ale coś kroki moje niosło. I widzę — u samych stóp góry — otwór. Spuszczam się w ten otwór — chód podziemny wiedzie do jaskini. Jaskinia szeroka, rozdzielona ścianą jakgdyby na dwie izby. Wchodzę. W izbie widno — skąd było światło, nie wiem, lecz wszystko było widać, jakkolwiek nie odrazu. Wzdłuż ściany jacyś ludzie, jakieś rzeczy, wszystko białe, a nikt ani drgnie, i wszystko milczy.

— I nie uczułeś strachu?

— Ja? Najmniejszego!... A raczej, tak, oczywiście, przeraziłem się okropnie. Tem bardziej, że jedna postać ludzka wydała mi się znajoma. Nie powiem, aby on to był sam, ale podobny był do niego.

— Do kogo?

— Do herosa Anagira...

Neobula drgnęła.

— Archedemie, i mnie ciarki przeszły. Nie dobrze o strachach mówić w taką noc.

— Więc lepiej przestanę.

— Nie, dokończ swej opowieści.

— Niedużo pozostało do końca. Anagirowi złożyłem jednakże pokłon i jąłem rozglądać się dalej. I co powiesz? U nóg jego nagle ujrzałem ją.

— Kogo?

— No, kozę naszą. Tę samą. Wołam na nią: „Kisseta, chodź!“ Koza leży, ani się ruszy. Nawet głowa nie drgnie. Ja ją łap! za brodę. I czy dasz wiare? I broda, i głowa, i całe stworzenie — skamieniałe! Dziw nad dziwy! Wtenczas dopiero zrozumiałem, że i Anagiros i wszystko dokoła było również kamienne. Widocznie Perseusz tamtędy przeszedł z głową Meduzy — zamieniając wszystko w jakoweś królestwo skamieniałe.

— I coś tam jeszcze widział?

— Widziałem jeszcze... ale może lepiej byłoby tego nie mówić?

— Skoroś zaczął, to kończ. Kogóż jeszcze widziałeś?

— Ciebie.

Neobula, rozdrażniona, zerwała się i szybko jęła chodzić po świetlicy.

— Wciąż widzisz jakieś rzeczy, których nikt prócz ciebie nie widzi. Już kiedyś pytałam, czyś nie postradał zmysłów, jak nasz Bakis.

— Kiedy pytałaś i kogo?

— Ojca twego — po tem, jak chodziliście obaj drzewa rąbać. „Nakazuję mu, powiada, wal siekie-

ra!“ On — raz! i nagle, jak nie krzyknie: „Ach, ojcie, krew buchnęła z rany!“ „Bogowie!“ wołam, jakoż mogłeś ranić siebie?“ Patrę — stoi zdrowiuteńki i siekierą na drzewo wskazuje. „Nie, powiada, z jej rany“. Spoglądam tam, drzewo jak drzewo, kora rozrąbana i z pod kory żywica kapie. „Otwórz że oczy! powiadam. Żywica, nie żadna krew!“ „Ty mówisz, powiada, żywica, ja nazywam — krew“.

Archedemos był blady.

— Prawdę mówiłem.

— A skoro prawdę — raptem zwróciła się Neobula, patrząc mu zuchwale w oczy — to jakże miałeś serce rąbać do końca?

— A cóż miałem robić? Ojciec kazał.

Neobula roześmiała się szyderczo:

— Poznaję syna Eurylity! „Ręce długie, białe“, powiada. A gdy Hagnon na nią głos podniósł, zapomniła o strachu: poszła i — nie wróciła.

— Słuchaj, mateczko: grzech tobie wspominać o tem!

— I mnie samej niemiło, mój drogi; wybacz. I trzebaż, aby lały do głowy same okropności, jeszcze w taką noc, jak ta!

Podeszła do stołu i jednym ciągiem wychyliła wino z kielicha Archedema. Ale i wino nie od razu ją ogrzało: trzęsła się, jak w febrze.

— Bądź łaskaw, Archedemie, dołożyć drew do ogniska: widzisz, ogień gaśnie. Ale wracaj prędko, bo straszno mi samej.

Archedemos oddalił się, lecz wrócił dopiero

po chwili. Włókł dwa grube polana, które następnie począł rąbać.

— Suchych drzew już nie było; przyniosłem z tych, które zwieźliśmy niedawno...

Nie chciał dodać: z gają Anagira. Lecz Neobula wiedziała o tem sama.

Nalala sobie jeszcze wina z dzbana i znów odrazu opróżniła kielich.

— Chwała Bogom, minęło! Teraz nie ulęklabym się nawet jego samego.

Świeże polana zapaliły się nie odrazu. Stary płomień otoczył je, ale z odległości, tworząc jakąś altankę ognistą wokół nich. Gałęzie syknęły, jęły trzeszczeć, zawyły—tak, wyraźnie zawyły i w tem wyciu umęczonej sosny Archedemos nagle usłyszał zajomy przyspiew:

Piosnkę ostatnią, pieśń pożegnalną...

Ale nie czuł strachu: przeciwnie, owo poprzednie uczucie wróciło doń, z dawną potęgą. Uśmiech zaigrał na jego ustach: „Filiro, Filiro, kiedyż ujrzę ciebie?”

Neobula natomiast nie mogła oczu oderwać od ogniska. Oto gałązki drgnęły, wijąc się, jak węże; to lgnęły do siebie, to znów się rozdzielały — z nieustającym sykiem, świstem, wyciem. Ognista zaś altanka tymczasem coraz ściślej, coraz bliżej je ogarniała. Najwyraźniej były to jakieś wstrząsy przedśmiertne. Nagle strzelił do góry płomień. Olbrzymi język ognisty wzbił się do samego pułapu, a jednocześnie z gałęzi płonącej dobył się krzyk rozdzierający. I kropla po kropli, zamiast

żywicy, krew—żywa, czerwona krew jąła broczyć w płomień. Krew kipiała, bulgotała, rozlewała się, rumieniąc barwą purpurową i gałęzie, i płomień, i wszystko; cały dom zdawał się tonąć w tej lunie purpurowej.

— Płomień Anagira!—błysnęło w głowie Neobuli. Było to tak straszne, a jednak nie doznawała lęku. Raczej jakiś dreszcz miły ją przebiegł.

Obejrzała się po świetlicy. Archedemos wciąż jeszcze siedział, odwrócony, i na ustach jego ten sam jeszcze przewijał się uśmiech. Jego ciemnokasztonowate włosy ogniem gorzały na jego głowie, jego oczy kare zdawały się miotać błyskawice; na policzkach jego płonął rumieniec, jakiego Neobula nigdy przedtem u niego nie widziała. Nie mogła teraz oczu odeń oderwać. Włosy, oczy, policzki—wszystko opromienione było ogniem Anagira.

— Jaki on piękny! — rzekła sama do siebie, i zdumiała się, że spostrzegła to po raz pierwszy.— Dotychczas był on dla niej tylko „synem Eurylity“, i, jako macocha, żywiła dlań uczucia raczej nieprzyjazne, składające się z nienawiści, zazdrości i wzgardy.

Postąpiła ku niemu krokiem i teraz dopiero spostrzegła, że nie zupełnie mocno trzyma się na nogach. Lecz odkrycie to sprawiło jej tylko radość. „Jedno z drugim“, — pomyślała sobie. Luna coraz bardziej stawała się purpurowa; obejrzała się — całe ognisko zalane było krwią. Z jakąś dziką namiętnością wchłaniała w siebie tę lunę, piła ją — tak, czuła to, płomień Anagira gorzał teraz w jej własnej piersi.

Podeszła do Archedema, wsparła się ręką na jego ramieniu.

Ten odwrócił się nagle. Uśmiech znikł na jego ustach, niemile go snadź uraziło, że cudze dotknięcie wytrąciło go z potoku marzeń.

— Co rozkażesz, mateczko?

Gdyby ktoś inny spojrział w tej minucie na Neobulę, zdumiony byłby przemianą, jaka w niej zaszła. Jakgdyby pękła jakaś tama i dzika rozkieżnana fala żądz rozlała się po całej postaci. Oczy, policzki, uśmiech — cała jej osoba, widać było, oddychała jednym nieprzewartem uczuciem namiętności.

— Nie nazywaj mnie mateczką, mój drogi — rzekła: — wszak jesteście z tobą równych lat.

— Jakto? Wszak jesteś żoną mego ojca.

— Mogłabym raczej być jego córką! A ty, ty jesteś taki...

Roześmiała się: — po co te podchody?

— Taki jesteś niedomyślny! Muszę ci chyba dać lekcję.

I, to mówiąc, ogarnęła go ramieniem, przyciskając jego głowę do swych piersi...

Archedemos wstał. Kiedyindziej porwałaby go wściekłość lub zgroza, lecz w tej chwili w myślach jego istniała tylko Filira, cały zaś pozatem świat był mu obojętny.

— Nie taki znów niedomyślny, mateczko: doskonale rozumiem, że dla odpędzenia strachu zbyt sobie zaproszyłaś głowę, i że powinnaś udać się na spoczynek. Dobranoc!

Neobula osunęła się na stołek. Posłyszała,

jak Archedemos w sieni o kogoś potracił, i po głosie poznała, że był to Hagnon.

— Gdzie idziesz?

— Do szopy, do kóz. Tam przenocuję.

Krzyknęła z bezsilnej wściekłości. Tylko nie jego, teraz, nie jego! Znów ten stary, obmierzły mąż! A tamten, śliczny, kochany chłopiec, odtrącił ją od siebie! Nieprzytomna, rozpięła narzutkę i rzuciła na podłogę. I wtenczas dopiero, opuściwszy głowę na swe nagie, dorodne ręce, zalała się łzami.

Wszedł Hagnon.

— Żono! Co się stało? Czemuś krzyczała? Czemu płaczesz?

— Sam widzisz.

Hagnon popatrzył na nią, na pomiętą narzutkę, znowu na nią... Zachwiał się.

— Kto? Mów, kto?

Chwycił ją za rękę; lecz ona, wzdrygnawszy się od jego dotknięcia, zebrała wszystkie siły i odepchnęła go.

— Sam wiesz.

— Syn mój? Syn mój?... O Anagirze! Anagirze!

I, jak szalony, porwał nóż ze stołu i wybiegł. Neobula chciała iść za nim, lecz nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Chwyając się ściany, dotarła do portalu i, wspierając się o jedną z sosen Anagira, jęła nasłuchiwać.

Krzyk wściekły... i znowu krzyk... potem ciężki łomot, jakby odgłos przewalających się ciał... i jęki głuche, oddalające się stopniowo... potem nic, tylko wycie jesiennego wiatru i chrapliwy hurkot fal sarońskich.

V.

Ciężka mgła zawisła nad nadmorskim futorem. Hagnon był jak opętany. W ową noc wbiegł do izby, niby ścigany zwierzę, z dzikim krzykiem: „Anagir! Anagir!” i, chwyciwszy żonę za obie ręce, rzucił się wraz z nią na łożo, przyczem Neobula dostrzegła, że chiton jego był cały mokry od wody morskiej. Przez całą noc nie puszczał jej od siebie i od chwili do chwili pytał: „Słyszysz?” Sam wsłuchiwał się w coś, coś słyszał, lecz nic nie mówił.

Nad ranem stracił przytomność, począł wspominać o dzieciństwie Archedema, obsypując go najtkliwszymi imionami, i biorąc Neobulę za Eurylitę.

Gdy wszakże rozedniało na dobre i rozpoznał żonę, wpadł w taką wściekłość, że omal jej nie zabił. Potem znów się uspokoił, natomiast ovladnął nim szalony strach; zaryglował drzwi wejściowe na zasuwkę, sam nie wychodził i żony nie wypuszczał, dając jej zaledwie czas na to, aby nakarmiła Kalligenesa i sama się posiliła. Archedemos wciąż nie wracał; gdy jednak Neobula spróbowała raz zapytać oń ojca, starzec uniósł się takim gniewem, że już więcej nie ponawiała swego pytania.

Tak upłynęło pięć dni.

Na szósty, Neobula, siedząc w świetlicy obok drzemiącego Hagnona, posłyszała czyjś głos, wołający jej po imieniu. Nierychło udało się jej określić, kto ją woła i skąd. Nakoniec, domyśliła się, że zapewne ze spiżarni. Była to izba ciemna, oświetlona tylko z góry, gdy otwarty był zro-

biony w dachu wylot. Istotnie, wszedłszy do spiżarni, ujrzała, że okienko wylotu było uchylone, z poza niego wyglądała głowa niani.

— Ratuj się, pan!

— Ratować się? Przed kim? Co się stało?

— Wszystko się wydało. Włóścianie ze wsi Anagirunta o wszystkim się dowiedzieli.

— Co się wydało? O czym się dowiedzieli?

— Jakto? Czyżbyś nie wiedziała?

— Nie wiem nic.

— Nie wiesz, że mąż twój oslepił swego syna Archedema i wywiózł go na wyspę pustynną Fabrydę?

— Bogowie!

— Tam też młodzieniec skonał — z głodu lub od ran, niewiadomo. Dziś rano rybacy anagiruncy ciało jego znaleźli — zapomocą innych świadków udało się ustalić, jak się wszystko dokonało. Natychmiast zwołano wiec burzliwy i groźny. Postanowiono ukamienować Hagnona, a razem z nim i ciebie, gdyż dla wszystkich było rzeczą jasną, że ty, jako macocha, podszcuchała ojca przeciw synowi. Przychodzę cię uprzedzić: ratuj się, pani, póki czas!

Znikła. Neobula nie słyszała nawet jej słów ostatnich; straszliwe zabójstwo syna przez ojca pochłonęło wszystką jej uwagę. Tak, wiedziała teraz, gdzie jest Archedemos, i wiedziała również, kto był sprawcą jego śmierci.

Opamiętawszy się, rzuciła się do świetlicy.

— Hagnonie! Szaleńcze! Potworze! Co uczyniłeś ze swym synem?

Hagnon, miast odpowiedzi, wydał ryk. Lecz ona nieulekłym wejrzeniem przyjęła jego obłąd.

— Co uczyniłeś ze swym synem?

— A on? A on co ze mną i ze czią moją uczynił?

— Szalony! Szalony! Czemu pożerasz mię oczyma? Zapóźno! Choćbyś mię zabił teraz, już zapóźno! Wtenczas powinieneś był zabić mię, kiedy te słowa przekłete wyrzekła, które mi podał Alastor... czy Anagir, wszystko jedno. On na cześć twoją nastawał? Nieprawda! Ja... ja byłam pijana. A raczej nie, nie zupełnie pijana, to raczej płomień Anagira gorzał w mojej piersi. I on podobał mi się... jeden raz w życiu urzekła mię młodość i uroda, mnie, młodą żonę starego męża. Nie powiesz tego, abym kiedykolwiek zdradziła cię przedtem... ale tym razem, z płomieniem Anagira w piersi, ważyłam się na rzecz niedobłą. On, młodzieniec uczciwy i czysty, wstał i odszedł. Złość uderzyła mi do głowy. O, byłabym się powściągnęła, opanowała. Lecz ty wszedłeś w tej samej chwili, gdy owa złość skowyczała jeszcze w mej piersi. Wygadałam się przez zemstę — niech, pomyslałam sobie, pocierpi i on, jak cierpiałam ja. — A ty, a ty... O, bogowie! bogowie!

Hagnon słuchał jej, ledwie rozumiejąc to, co słyszy. Długo stał, jak wryty. Nareszcie, jakgdyby zrozumiawszy wszystko, skoczył do ogniska, chwycił tlejącą gałąź sośniny i zamierzył się na żonę. Ta nie uchyliła się.

— Bij mię, bij mię! Trzeba było przódziej: teraz już zapóźno!

Lecz Hagnon jej nie uderzył. Niespodziany gwar u drzwi wejściowych odwrócił jego uwagę.

Przez okiennice, skroś szczeliny, widać było lunę, jakgdyby od mnóstwa pochodni. Posypały się ciosy do drzwi. Rozległy się wrzaski:

— Wychodź, Hagnonie!

— Wychodź, synobójco!

— Wychodź, bezbożniku!

— Zemsta za Archedema!

— Zemsta za Anagira!

— Ukamienować go!

— Ukamienować oboje!

Drzwi wejściowe nowe i tęgie, opierały się dotychczas ciosom. Włoszcjanie mieli rohatyny i pale, lecz to nie wystarczało.

— Dragów, — zawołano: — dragów dawać! Przyńście dragów!

Hagnon, miotał się, jak zwierz. Próbował wy dostać się przez drzwi boczne, ale i z tej strony widać było pochodnie. Śmierć była nieuchronna.

— Anagiros! — krzyknął. — Ofiarę Anagirowi!

I chwyciwszy z ogniska głównie, rozłożył je u podnóża obu słupów portalu. Na to same miejsce jał znosić też pozostałe gałęzie sosen fatalnych, przechowane do tej chwili w drewnitni. Gdy ich zbrakło, począł walić na gromadę kosze, stolki, szkatułki, wszelki sprzęt drewniany. Neobulę przy musiał także, aby mu pomagała.

— Noś i ty! I ty zawiniłaś wobec Anagira!

Niebawem cała przestrzeń dokoła portalu stanowiła jeden olbrzymi stos.

— A teraz — ofiara! Ofiara Anagirowi!

Chwyciwszy pochodnię, uprzednio zapaloną na ognisku, cisnął ją na stos. Stos zajął się natychmiast.

Był wielki czas. Znowu posypały się ciosy we drzwi wejściowe, ale były to już ciosy inne: włościanie uzbroili się w drągi.

Neobula bez sprzeciwu wykonywała wszystko, czego żądał od niej mąż. Lecz teraz niebezpieczeństwo ostateczne jakgdyby przemogło jej bierność.

— Kalligenes! Kalligenes!

Skoczyła do dziecka, porwała je.

— Neobulo! Zdrajczyń! A ty gdzie?

Wybiegła z komnaty do izby przyległej i zarygłowała drzwi za sobą. Następna izba — była to spiżarnia; było w niej widno, piastunka zostawiła górne okienko otwarte. Lecz jak wydostać się na dach?

Chwała bogom! W spiżarni wałało się mnóstwo próżnych amfor. Neobula urządziła sobie z ich pomocą schody i wyszła z dzieckiem na płaski dach.

Ale czy stoi drabina, po której musiała wchodzić piastunka? — Tak, stoi, i ludzi tu niema, tu ściana domu kątem sięga w gęsty zagajnik. Neobula pędem zbiegła po drabinie i, niedostrzeżona w mroku nocy przez nikogo, pomknęła pod górę.

Ubiegłszy na stajanie od domu, obejrzała się za siebie. Z wysokiego miejsca dwór cały było widać, jak na dłoni. Śliczny portal buzował się w płomieniach; ogniste języki lizały już ściany pozostałe, poszukując w nich ram drewnianych i be-

lek. Hagnon, oszalały, stał jeszcze przed portalem z podjętymi, jak do modlitwy, rękoma. Neobula mogła była widzieć, jak od żaru zajęło się na nim ubranie, i jak bez tchu runął na ziemię. — Wprędce potem zapłonęły inne części domu.

Ofiara się dokonała.

VI.

Neobula pomknęła dalej. Ale dokąd? Ku morzu? — Niemożna. Byli tam włościanie. Z pewnością ją zabili, a i dzieciątkaby nie pożałowali.

A więc w góry. Tak, lecz co począć tam, w pustynnych zaroślach Hymettu? Mniejsza o to. Byle noc przepędzić. Nazajutrz można będzie przedostać się i do Aten, do dobrej królowej Praksytei.

Tylko... na drodze do Hymettu było uroczysko Anagira. Neobula stanęła. Oto ma je przed sobą. — Czarnym mrokiem zionie otwór, przez który ludzie pobożni spuszczali dary do przybytku herosa.

Czarnym mrokiem. Czarnym, jak ta noc dookoła. Czarnym, jak owa... studnia, w którą upadła Eurylita... Upadła?

A jednak przejść trzeba mimo jaskini, niema rady. Kalligenesie, dzieciątko, nie płacz. Przechoździć mimo trzeba w milczeniu, aby nie zauważył... Prędej bokiem, bokiem!

Zauważył, bogowie, zauważył! Oto z czarnego dołu wysuwa się ręka, ręka długa, biała; a za nią druga. Pędem, pędem uciekać!

Neobula wciąż biegnie i biegnie. Dziecko krzy-

czy wniebogłosy. Ale jeszcze głośniej wali jej serce, biją jej tętna w skroniach, huczy oddech jej w płucach. Szczególniej ten oddech; słyszy go wyraźniej, niż wystko. Tylko, czy jej to własny jest oddech?

Oglądać się za siebie niemożna; uczucie atoli mówi jej, że nie jest sama, że coś straszego za nią goni. I, gdy tylko zatrzyma się, lub zwolni kroku, to „coś” ją pochwyli.

Oto mija właśnie gaj. Jak posępnie szumią te dęby, te platany! Jakgdyby pieśń pogrzebowa unosiła się z ponad drzew. I któż to woła ciągle: „Archedemos! Archedemos!”

Pędem! Pędem!

Nie, długo w ten sposób pędzić niepodobna, sił nie starczy. Możeby pokarmić synaczka, aby nie płakał tak żałośnie? A jeśli *on* dogoni?

Ah, boże mój, zechce dogonić, to dogoni i tak. Trzeba rozpiąć chiton, dać dziecku piersi. Mimo to nie zatrzyma się, lecz iść będzie naprzód, krokiem szparkim, chociaż nie biegiem. Masz, kochanie, ssij! Ah, niebożatko, niebożatko, jaką masz główkę rozpaloną! — I piersi nie bierze, i wciąż zanosi się od placzu, tak żałośnie, tak żałośnie...

Cóż to? Obok jej ręki na główce niemowlęcia spoczywa jakaś inna, biała. I czyjś głos szepce: „Zapomniałaś przysięgi? On mój!” Szepce, ale wyraźnie; dziecko przestało płakać.

Strach! Prędzej naprzód, naprzód! Dziecko jest w gorączce, a noc niepogodna. Gdyby choć lepiankę węglarza znaleźć — alboż to ich mało na

Hymecie? Choć duszno będzie i smrodliwie, ale przynajmniej ciepło.

A co za cisza dokoła! Wiatru jakgdyby nie było. Widocznie, kamienna ściana Hymettu osłania. — Tylko niebo po dawnemu jest czarne. Niepokój aż w kości wżera się w tej ciszy. Niechby chociaż dzieciątko znowu zakwiliło! — Lecz ono milczy, milczy. Widocznie zasnęło maleństwo.

I co za ręka jej się przysniła? Co za pogoń? Dokoła niezmacona cisza. Możeby się obejrzeć? — Strach! — A jednak!... Nic niema. Prostu przypominałam sobie Eurylitę; stąd to cały strach.

Chwała bogom! Ukazało się światelko i nawet niedaleko. Niezawodnie lepianka węglarza. Teraz wszystko pójdzie pomyślnie. — I nie odmówią jej gorącego odwaru miętowego z miodem hymeckim — tego przecież wszędzie można dostać.

Jednakże, rzecz dziwna: światło jest białe, majaczące, nie zaś czerwone, jakie zazwyczaj bywa u węglarzy. Skądby to? Jakgdyby jaśń księżycowa w lepiance... — Dziwne.

— Hej, zacy człowieku, przyjmij na noc podróżną z dzieckiem!

Wszystko milczy. A światło płonie — równe, bez drgań, bez falowania. Trzeba wejść. Zejście jest strome, a stopni niema: trzeba jedną ręką trzymać się ściany. Ściana jest zimna, szorstka, wilgotna. Nie, to nie lepianka, to jaskinia w skale.

Dwie izby, przedzielone ścianą kamienną; jedna ciemna, ale druga widna. Obie milczą. — Trzeba wejść do tej widnej. Oh, znowu serce poczęło bić: tu ktoś jest!

I nie widać skąd światło płynie: nic się nie pali. Wypełnia całą izbę jaśnieniem równym, zimnym i martwym. A może to światło płomienieje z kamieni? Widywała niekiedy takie światło w zgniłej dziupli zmurszałej wierzby: takie samo białe, zimne i martwe.

Ale czuła się znużona — boże, jak bardzo znużona! Dopiero teraz to spostrzegła. Trzeba odpocząć chwilkę i raz jeszcze spróbować dać piersi Kalligenowi, chociaż zasnął. Tylko, któż to tu mieszka?

Powiodła okiem wokoło... oj! wielcy bogowie, cóż to takiego? Pastuch z kozą, pastuch biały i koza biała — oboje nieruchomi! — A dalej, jeszcze ktoś, równie nieruchomy, siedzi. Lecz trzeba podejść bliżej... Archedemos! Jakże ty się tu znalazłeś?

Nie czas na lęki: jest pośród królestwa śmierci, to jasne. Wyjść i tak nie zdoła: nogi odmawiają służby. Tu, obok Archedema, jest siedzisko — także białe, także zimne; wszystko jedno. Trzeba sięść koniecznie.

Nieboraku, co z twoją główeńką? Wciąż mężczy cię gorączka? Nie; gorączka spadła. I bardzo nawet spadła; główka jest chłodna, jak te kamienie dokoła.

Aa!... Poco krzyżeć? krzyk i tak w piersi zastęga. Umarł, umarł; to jasne. Umarł on, umieram i ja. I chciałabym wstać, lecz nie mogę; czuję, jak moc kamienna mię okuwa. Nogi już skamieniały zupełnie, tylko piersią jeszcze żyję i głową. Ale i to już nie na długo. I uczucia dawne zamarły

Dzieciątko moje skonało, a mnie nawet nie chce się krzyżeć ani płakać. Umarł on, umrę i ja.

Oto jesteś i ty. Przyszedłeś też i po mnie. Nie jesteś mi już straszny: jesteś wielki i piękny; dobroć jaśnieje w twych oczach. Wiem, osłaniałbyś nasz dom swą opieką, gdybyśmy ukorzyli się przed tobą, i nie walczyli przeciw tobie.... Ot, widzisz, namiętności skipiały; teraz i ja będę cicha... cicha... cichutka..

VII.

I znowu wypadło święto Kalligenji. Znowu młode matki krainy ateńskiej zebrały się w świątyni Demetry Thesmofory, aby pokazać najcenniejszy plon tego roku i światłonośnym boginiom, i ogółowi obywaterek i powszechnie kochanej królowej Praksytei. Znów pospołu z obu swemi radczyniami obchodziła ta ostatnia szeregi spowiniętych niemowląt.

Tym razem wszystkie trzy, jakby olśnione, zatrzymały się przed jednym maleństwem, ubogo odzianem, ale niewidzianej dotąd piękności.

— Sądzę, obywatelki, — odezwała się królowa — niema co inne oglądać. Takie, jak to, przychodzą na świat raz na dziesięć lat. Takim snąc był niemowlęciem Apollo — oby nam był miłościw! — gdy matka Latona porodziła go pod dziewiczą palmą na Delosie.

Nikt się nie sprzeciwiał.

— Szczęśliwa matko tego dziecięcia, wyjdź! Wyszła, wszelako, taka, której nikt się nie

spodziewał, niewiasta już niemłoda, o rysach łagodnych, lecz grubych. Wszystkie trzy ze zdumieniem spojrzały na nią.

— Czy to jest twoje dziecię, to boskie niemowlę?

— Moje, i nie moje, wielka królowo i czci-godne obywatelki. Czy każecie opowiedzieć, jak się to wszystko stało?

— Opowiadaj!

— Wiecie, jaką śmiercią straszną zginęli wszyscy mieszkańcy futoru nadmorskiego pod Hymettem...

— Zginęli z własnej winy, — dodała królowa, wzdrygając się. — A najbardziej winna była Neobula. Na tem tu miejscu złożyła ona, głowy dziecka dotykając, jakkolwiek niekłamiwą, jednak niezretelną przysięgę. Bogowie atoli patrzą nie na słowa, lecz na intencje ludzi, nie oszuka ich przebiegłość ludzka; radzę i tobie o tem pamiętać, niewiasto.

— Pamiętam o tem, wielka królowo, i zawsze pamiętała; dla tego to nie mogłam wraz z państwem — służyłam u nich za niańkę — przenieść się do nowego domu, wzniesionego z krzywdą Anagira. Pozostałam na starych śmieciach i codzień modliłam się do czci-godnego herosa, aby nie doszczętnie wytracał ród Hagnona, aby został ktoś, ktoby przodków czcił i składał dary na ich grobach. I czci-godny heros modłów moich wysłuchał. Razu pewnego, było to obecnego lata, w tę noc właśnie, gdy na skale Pallady sprawiałyście ku jej czci chóry taneczne, zasnęłam jakoś twardo po mo-

dlitwie do Anagira. A trzeba wam wiedzieć, że i nadal pozostałam, jak dawniej, w starym domu, potem, jak nowy spłonął. Żyję mlekiem kozim i owocami ogrodu, który sama uprawiam; niewiele dokonać mogą moje ręce samotne, ale, widocznie, Anagiros dopomaga.

— Mów dalej!

— Otóż, jakom rzekła, zasnęłam ja twardym snem. I widzę we śnie — podchodzi do mnie mężczyzna, przewyższający ludzi wzrostem i urodą, i mówi do mnie: „Nie bój się, Eutychido, jam jest ten, któremu ty stale modlisz się pobożnie, heros Anagiros. Modlitwa twoją została wysłuchana. O świcie wyjdiesz do mojego gaju, tam, pod młodą lipą, znajdziesz niemowlę, które dopiero co ujrzano światło dzienne. Niemowlę to, jest to *Hagnon*, syn Archedema; będzie on dziedzicem roli i dworu swego dziada, piastunem grobów swoich przodków i żywicielem twej starości. Wyrośnie pod mojem błogosłowieństwem, a ród jego nigdy nie wygaśnie. I potomkiem jego będzie ów Archedemos, który ozdobi grotę moją pod Hymettem i przekaze imię swe dalekim pokoleniom“. — „O, święty — rzekłam — a któż jest matką niemowlęcia?“ — „Nie próbuj przenikać tajemnic bogów — odrzekł heros; — wiedz to tylko, że nie bez ich udziału spełnia się to wszystko, co się spełnia“. To rzekłszy, zniknął. Ja zaś postąpiłam wedle jego przykazania i znalazłam wszystko, jako mi był zwiastował: niechaj zginę, jak Neobula, jeśli mi tu rzekła nieprawdę.

— Wierzę ci — ozwała się Praksytea i, oczu

nie odrywając od niemowlęcia, mówiła dalej w zamysleniu: Hagnon, syn Archedema, latorośl niewinna przekłętego rodu. — Ale był on przeklęty przez Anagira i, skoro Anagiros zdjął zeń swą klątwę, tedy i dla nas dzieciątko jest czyste. Powinnością króla ateńskiego jest czuwać, aby dzieła roli zgodnie z ustawą i prawem przechodziły z ojca na syna; król jest opiekunem sierot. Eutycho, przenocujesz u mnie; jutro zaś król Erechteusz pośle wraz z tobą podkomorzego i czeladź na dział Hagnona, aby rola jego rodziła to wszystko, co rodzić powinna, i abyś żyła w dostatku, żadnych nie cierpiąc braków. Troską zaś twoją będzie tylko wychowanie maleńkiego syna Archedema, iżby wzrastał i nadal pod błogosławieństwem Anagira. Lecz wieńca Kalligenji dać mu nie mogę — bogini wyznaczyła go nie dzieciątku, jeno matce za dzieciątko. A więc, obywatelki — do pracy!

ZAMEK JUTRZENKI

IREZYONA

I.

Erechteusz, król ateński, miał córkę Prokridę. Jako najpiękniejsza z pośród wszystkich dziewcząt królestwa, zapragnęła, aby poślubiono ją najurodziwszemu z młodzieńców. Wybrańcem tym okazał się młody witeź Kefalos, pan bogatego dworu u wschodniego podnóża lesistego podówczas Hy-mettu.

Gody małżeńskie z królewskim wyprawiono przepychem; młoda para od samego początku rozkochała się w sobie aż do szaleństwa. Oboje przekonani byli o wieczności własnego miłowania i lekali się tylko tego, by druga strona nie uległa oziębieniu. Aby pokonać tę obawę i oddać się pełni szczęścia, złożyli sobie nawzajem przysięgę, że pozostaną wierni sobie aż po kres życia. I, w istocie, poczęli odtąd żyć tak szczęśliwi, jak tylko można szczęśliwym być na ziemi.

Prokrida — ta, zaiste, nikogo i nic, prócz Kefalosa, nie kochała; nawet święte oblicza ojca i matki zmierzchły dla niej od chwili, w której oczy jej ujrzały jego. Kefalos, oprócz swej żony młodej, acz nie z tą samą namiętnością, kochał

dawne swoje zajęcie, łowy. Zrazu, po ślubie, powstrzymywał się od nich, aby Prokridy nie zostawić samej; potem jednakże udało mu się przekonać żonę, że nie wypada mu przecież, człowiekowi młodemu, gnuśnieć w cieniu komnat, wzorem biatogłowy; a przytem włościanie okoliczni prosili go, aby uwolnił ich to od wilka, to od lisa, to od dzika, lub innego zwierza, co raz po raz z lasów Hymettu wpadał w urodzajne pola Mesogji. Prokrida chętnie puszczała męża, zwłaszcza odkąd przekonała się, jak wiele junacka jego postawa zyskuje w wilczej czapie, jak świetnie wygląda z oszczepem myśliwskim w rękę.

II.

Pewnego razu doniesiono Kefalosowi, że na górnym sklonie Hymettu ukazał się olbrzymi jelen; wiadomość ta ucieszyła go niewymownie. Zadanie było nie bylejakie: należało jeszcze nocą wspiąć się na górę wzdłuż łożyska potoku Charadry, wysledzić zapomocą wyża trop zwierza i ukryć się w zasadzce, oczekując poranku, póki rogacz nie przyjdzie napić się z potoku.

Tak też Kefalos uczynił.

Z początku nie widział przed sobą nic, prócz głębokiego stropu niebios, usianego mirjadami gwiazd. Powoli wszakże, w miarę tego, jak niebo zaczynało blednąć, a gwiazdy przygasać, z mgły przedświtnej kamienne jęły wypływać obszary; Kefalos wiedział, że były to wyspy — Eubea, Andros, Tenos, — zdobiące niewidzialną tymczasem toń

morza Egejskiego. Podwoił czujność: skoro je już widać, więc lada chwila zaświta jutrzienka.

I nagle rozplonął niby stos na szczycie góry androskiej; ręczo rozlały się płomienie, ogarniając obłoki, wieńczące siwą jej głowę. We wszystkich kierunkach śmignęły smugi purpurowe — to ona, różnopalca! Tyle razy spotykał ją po tej zasadzce nocnej, ale nigdy nie wydała mu się tak piękna. „Wstań, Jutrzenko!“ — szepnął, śląc jej pozdrowienie wraz z obudzonym ze snu wietrzykiem.

Lecz cóż to? Purpurowe promienie prostują się, niby pnie smukłe stoją na szkarłatnym szczycie. Widać dziesiątki ich, setki; z przodu wyglądają niby palmy, złotemi jaśniejące liśćmi; dalej — błyszczą niby kolumny, złoty wspierające dach. Góra mknie naprzeciwko góry; coraz bliższe, bliższe jest królestwo czarodziejskie. Kefalos już różnią tęczopióre ptaki, przefruwające z palmy na palme; jak dźwięczny, jak słodki jest ich śpiew! Niektóre podfruwają ku jego górcie, siadają na jej platany i dęby i, niby liście strącone od wiatru, staczają się ku niemu; on schyla się po nie, lecz są to jedynie kamyki z łożyska Charadry... Coraz bliżej, coraz bliżej!... Oto sam on wśród czarownych znalazł się drzew! Jego chiton goreje, niby purpurowy płomień. Oto widać już gmach, cały ze złota i szkarlatu; cóż to, świątynia czyli zamek? Podwoje jego są jeszcze zamknięte; lecz oto i one drgnęły, powoli, powoli się rozwarły. W podwojach zaś stanęła ona z wianem róż na głowie, i w stroju usianym różami.

III.

Podeszła ku niemu i wyciągnęła doń rękę z uśmiechem pieścizotliwym na przecudnych ustach.

— Kefalosię, dosięgłeś krańca piękności ziemskiej i ziemskiego szczęścia; teraz otworzył się przed tobą Olimp. Wstąp do mego zamku, jako wybraniec mój i ulubieniec, dostąpisz przeze mnie piękna i szczęśliwości bogów.

Lecz Kefalos nie podał jej ręki. Wzniósł ją, jak do modlitwy, i rzekł głosem cichym, lecz stanowczym:

— Bądź błogosławiona, bogini! Zbuduję ci ołtarz u wschodniej ściany mego domu, ty zaś, jeśliś łaskawa na mnie, pozwól, abym pospołu z Prokridą do głębokiej starości składał ci na nim ofiary, i daj nam umrzeć pospołu tego samego dnia.

— Z Prokridą? Opamiętaj się! Czyż Prokrida piękniejsza jest i powabniejsza odemnie?

— Nie, bogini! Nie równać się jej skromnej, ziemskiej urodzie z boską urodą niebianki. Ale ją kocham ją, jak i ona mię kocha, i poprzysięgliśmy sobie nawzajem miłość wieczną.

Tu cień smutku osiadł na świetlistem licu Jutrzenki i ciągnęła dalej:

— Ach, gorzkie plemię istot jednodniowych, wy śmiecie mówić o wieczności? Wiatru jutrzejszego przepowiedzieć nie umiecie, a wyobrażacie sobie, że znany wam jest kierunek uczuć waszych na wieki. A czy ty wiesz, że Prokrida pierwsza złamie ślub zaprzysiężony?

— Prokrida? Nigdy się to nie stanie!

— Stanie się to dziś jeszcze, a jutro ty będziesz w moim zamku.

To rzekłszy, Jutrzenka zbliżyła się do Kefalosa i przesunęła swą dłoń miękką po jego głowie; rozwiała mrok jego włosów czarnych tak właśnie, jak jej promienie na niebiosach rozpraszają mrok nocnego firmamentu, i kędziory złociste zajaśniały pod jej dłonią. Dotknęła jego twarzy i — rumieniec pokrył jego smagłe policzki. Położyła mu ręce na ramionach i stał się on wyższy i dorodniejszy, i potęga nieziemska wstąpiła w jego mięśnie. Lecz on stał, jak zaczarowany, nie zdając sobie sprawy z tego, co się z nim dzieje. Wtenczas ona schyliła się ku niemu — i gorący pocałunek zapalił się na jego ustach.

Poczem, odstąpiwszy odeń, zdjęła naszyjnik — lśniący naszyjnik z ogni w złotych z dużym na każdym ogniwie rubinem — i złożyła go ostrożnie na skale.

— Bądź zdrow, kochany, rychło będziemy razem!

Odeszła jeszcze dalej, aż skryła się w swym zamku. Wtenczas gmach cały uniósł się na powietrze i utonął w błękicie eteru.

Z wyżyn zaś góry androskiej świeciło słońce, i blask jego odbijał się w modrem zwierciadle morza Egejskiego.

IV.

Wtem coś zaszumiało, zatrzeszczało w zaroślach, olbrzymi gmach jelenia stanął wśród wierzb

i oleandrów, obramiających łożysko Charadry. Kefalos chwycił za oszczep, lecz już było zapóźno: rogacz poczuł człowieka i, nim oszczep zdołał go dosięgnąć, zniknął w lesie przeciwnego brzegu.

Oszczep zaś uderzył w sosnę i przebił ją na wyłot.

Kiedyindziej niepowodzenie rozjątrzyłoby było Kefalosa, lecz teraz wszystkie myśli jego mknęły ku Prokridzie. Marzył jedynie o tem, aby wrócić do niej, odpocząć, zapomnieć się na jej wiernej piersi.

— Aura, do domu! Gdzieżeś ty, Aura?

Pies, szczekając, rzucił się był w pogoń za uciekającym zwierzem. Teraz pędem powracał do swego pana; nie dobiegłszy atoli, stanął o parę kroków, jak wryty, i groźnie warcząc, postawił uszy.

— Aura, do nogi!

Lecz Aura stała nieruchomo, warcząc jeszcze groźniej. Podszedł ku niej, aby ją schwytać; wtenczas, wściekle szczekając, wpiła się w jego nogę. Odtrącił ją stopą: Aura z żalonym skowytem wleciała w powietrze, trzasnęła o drzewo, i z rozbitym czerepem padła na ziemię.

— Bogowie, cóż się to ze mną dzieje? Czyżby mię sen zmorzył na brzegu Charadry? Czyżby we śnie nawiedziła mię Nimfa swym odbierającym zmysły urokiem?

Nagle wzrok jego padł na naszyjnik Jutrzenki, wciąż jeszcze mieniący się na urwisku skały w promieniach porannego słońca. Wziął go do ręki —

tak, było to złoto prawdziwe, prawdziwe ognio-kwietne rubiny.

— Podaruję go Prokridzie — pomyślał. — Równego temu nie znajdzie się w całym skarbcu króla Erechteusza.

Rzucił spojrzenie pożegnalne na zwłoki towarzysza i szybko jął zstępować z góry łożyskiem Charadry.

V.

Było już południe, gdy Kefalos — bez psa, bez oszczepu i bez zdobyczy — doszedł do dziedzińca swego dworu; drzwi jednak były zamknięte, jak zazwyczaj, gdy gospodarza nie bywało w domu. Ujął za klamkę; dał się słyszeć trzask, poczem drzwi wraz z osią i złomkami zasuwki znalazły się na podłodze.

Cicho, cichutko podszedł do żony i znienacka zarzucił jej na ramiona naszyjnik Jutrzenki.

— O Afrodyto! cóż za śliczności! — zawołała.

Szybko obejrzała się i, ujrawszy Kefalosa, odskoczyła ku ścianie komnaty, wrażliwie wąż na pół przerażony, napół oczarowany wzrok.

— O, kim jesteś, gościu? Jeśli jesteś bogiem, bądź nam miłościw! I, zaiste, jesteś bogiem; złotem słońca lśnią twoje kędziory, i rumieniec jutrzeński płonie na twych licach.

Kefalos drgnął i opuścił oczy.

— Przebacz mi, Prokrido — wyszeptał: — kocham ciebie i tylko ciebie. Tak, byłem w królestwie czarodziejskiem, ale widzisz, przychodzę do

ciebie. O, zmiłuj się nademną i daj mi odpocząć od wszelkich czarów na twojej piersi!

Znów spojrział w jej oczy—pod jej łagodnym, dziecięcym wejrzeniem zgasł pocałunek bogini na jego ustach. Uczuł to wyraźnie; nie posiadając się z zachwytu, porwał ją w objęcia. Nie miała siły, aby mu się opierać.

— Przebaczasz mi, tak? Kochasz mię, tak, Prokrido?

— Nie wiem, co się ze mną dzieje—szepnęła—wszystko to jest tak nagłe, tak dziwne...

— Przebaczasz? Kochasz? Powiedz, że kochasz!

W milczeniu skłoniła głowę na jego ramię.

VI.

— Otwórzmy okiennice, mój miły. Pragnę raz jeszcze spojrzeć z zachwytem na ciebie.

— Dobrze, kochanie, ja sam także chcę je otworzyć. Nie rozumiem, co się ze mną stało: coś skrzydlatego, jakiś nietoperz snadź dotknął się mnie i wlał w żyły moje tęsknotę i omdłałość.

Podszedł do okna i z trudem otworzył okiennice. Fala światła wpadła do komnaty.

— No, nareszcie doznałem pewnej ulgi.

Znów powrócił do niej.

— A teraz popatrz na mnie jeszcze raz tak, jak patrzyłaś wtenczas... Prokrido, co tobie?

Zerwała się z dzikim wrzaskiem, patrząc na męża, jak gdyby na widmo. Chciał ująć jej rękę, odskoczyła od niego.

— Kefalosie... a więc to byłeś... ty?

— Prokrido, co się stało z twoim naszyjnikiem?

Na nitce złotej chwiała się suche, w trąbkę zwinięte liście wierzbowe: pod nimi widniały, zamiast rubinów, duże piętna krwawe, okalające całą białośniezną szyję Prokridy.

Ale jej nie naszyjnik był w głowie: nieprzytomna od zgrozy, nie spuszczała oczu z Kefalosa i wciąż powtarzała:

— Kefalosie... to byłeś... ty?

— Prokrido, a za kogoż ty mię brałaś?

Teraz dopiero przypomniał sobie przepowiednię Jutrzenki.

— Prokrido, ty... wzięłaś mię za kogoś innego i mimo to mogłaś... po naszej przysiędze?...

Opuściła oczy, lecz wkrótce znów je podniosła: lśniła w nich trwożna nadzieja:

— Kefalosie mój, drogi mój... wszak skoro to byłeś ty, to ja nie zламаłam przysięgi. Wszak nikt, prócz ciebie, mnie nie tknął. Więc jakoż, wobec tego, nie byłam ci wierna?

Lecz on nie odpowiedział jej. Smutnie zwiesił głowę, skierował kroki ku drzewom i ścieżkom, wiodącym w stronę góry.

VII.

Nie próbowała go Prokrida zatrzymać: czuła, że byłoby to próżne.

Zawołała staruszki Polimeli, swej piastunki, która przeszła za nią z domu Erechteusza, i teraz była u niej klucznicą.

— Nianiu kochana, spełnij moją prośbę, ale tak, aby nikt się o tem nie dowiedział. Pomóż mi umyć się i odziać w strój cały czarny.

Staruszka plasnęła rękoma.

— Na bogi, dziecino! Po co to?

— Nie pytaj, kochana, jeśli mię kochasz; zrób to, o co cię proszę.

Polimela zniżyła głos:

— Nieprawda, dziecino — tajemniczo szepnęła piastunka — ów gość wyniosły i wspaniały, był to sam Hermes? I przyniósł ci on wiadomość, że mąż twój — umarł?

— Tak, nianiu, mąż mój umarł — dla mnie.

— Ale czemuż, dziecino, był on tak podobny do niego samego?

— Bogowie upodobniają się, do kogo zechcą, nianiu, nie wtajemniczając nas w swe zrządzania. Lecz zrób to, o co cię proszę: muszę dopełnić pewnego obrzędu żałobnego, którego on... Hermes... żąda ode mnie.

Staruszka usłuchała; umywszy się i ubrawszy, Prokrida pocałowała ją na pożegnanie i udała się również w stronę Hymettu. Doszła do miejsca, gdzie Charadra, zbiegłszy z góry, kaskadą ciska się w przepaść. Przepaść tę poczytywano za wstęp do królestwa umarłych.

Lecz teraz promienie słońca igrały w pianach wodospadu, nad niemi mieniła się tęcza, pod kręgiem zaś tęczy siedziała najada i śpiewała, grzejąc w upale południa swe ciało srebrzyste. Zoczywszy Prokridę, zawołała ku niej:

— Przedsięwzięłaś rzecz niepodobną, kró-

lewno; nie w taki sposób schodzi się do królestwa podziemnego, a zresztą nie czas jeszcze na ciebie. Poczekaj, pozwól mi przypomnieć sobie: znam ja piosnkę i o tobie.

Najada spuściła wzrok ku falom swego potoku; powoli oczy jej zaiskrzyły się blaskiem prończym i, przeciągle skandując, zaspiewała:

Jest na morza krawędzi przybytek od Zeusa wybrany,

Wyspa, co Kretą się zwie; Minos panuje tam król.

Moc odziedziczył on cudów w spadku po boskiej macierzy

Oszczep niechybny, wśród nich, zawsze godzący w sam cel.

Oszczep ten musisz wysłużyć służbą przez rok dobrowolną;

Tem odkupisz swój grzech — męża odzyskasz, swój skarb.

Ledwie przebrzmiały ostatnie słowa pieśni, tęcza natychmiast zgasła i najada znikła w potoku.

— Dzięki ci, nimfo! — krzyknęła za nią Prokrida i z nową, rześką w piersi nadzieją skierowała się ku drodze, wiodącej do przystani ateńskiej, Faleron.

VIII.

Zapadał już zmierzch, gdy stanęła nad brzegiem morza; lecz noc zapowiadała się cicha, księżycowa i przystań żyła całą pełnią życia. Prokrida zoczyła statek trzydziestowiosłowy, gotów do odpłynięcia; kotwica była podniesiona, w tej chwili odwiązywano liny. Właściciel statku wydał się jej osobą znajomą.

— Skąd i dokąd, Euagorze? — spytała.

— Z Knosu, z Krety, królewno Prokrido, przywożem ładunek drzewa cyprysowego, teraz jadę

z powrotem z ładunkiem wyrobów garncarskich, zamówionych przez Minosa. Ale dlaczegoż to widzę cię w żalobie?

— Weź mię z sobą, Euagorze.

— Co mówisz, królewno! A toż potem wszystkie przystanie króla Erechteusza byłyby dla mnie na wieki wieczne zamknięte.

Prokrida zdjęła z palca pierścień ze złota litego z dużym diamentem — przedślubny dar ojca — i podała go żeglarzowi. Radość zalsniła w jego oczach.

— Prędeż po schodkach, królewno, dopóki nikt cię nie poznał! Ty zaś, Kimotojo — dodał, do okrętu swego się zwracając — oddaj mi tę ostatnią jeszcze usługę; potem nie będę już losu twego powierzać uwodnej Amfitrycie. Ster twój zawieszę nad ogniskiem i w pokoju zestarzejesz się na dziedzińcu Dioskurów.

IX.

Minęły dwa dni. Król Minos siedział w komnacie tronowej swego pałacu w Knosie, na wyniosłym kamiennym siedzisku, po obojej jego stronie możni panowie, członkowie rady. Posiedzenie snadź dobiegało już końca.

U drzwi komnaty ukazał się wartownik.

— Przed pałacem stoi kobieta niezwyklej urody; niewiadomo, bogini, czy ziemianka, cała czarno ubrana; pragnie rozmówić się z tobą sam na sam. Czy rozkażesz ją wpuścić?

Minos był to mąż mądrości wielkiej, ale zarazem niezmiernie na wdzięki niewieście czuły.

— Narada nasza skończona, druhowie; lecz proszę, abyście się nie rozchodzili, lecz poczekali na mnie na dziedzińcu, przed ołtarzem. Zeusowi należy się ofiara, po niej zaś będzie uczta.

Gdy panowie rada opuścili komnatę tronową, król rozkazał, aby wprowadzono nieznajomą.

Weszła.

— Na imię mi Antyfila, jestem córką Polifila z Toryku attyckiego. Matka twoja, słynna Europa, wybranka Zeusowa, przekazała ci w puściźnie oszczep niechybny, zawsze trafiający we wszelkiego zwierza. Przepowiednia nakazuje mi wysłużyć ten oszczep u ciebie, aby grzech odkupić. Proszę, abyś wolę bożą uszanował i przyobieczał mi ten oszczep: w zamian ofiaruję ci się sama na rok jeden za niewolnicę.

Gdy mówiła, Minos, słuchając, pożerał ją wzrokiem; niedobrym ogniem gorzały jego oczy. Powstawszy, podszedł do niej i władczo położył dłoń na jej ramieniu.

— Za łaskę — łaska; czyż nie tak, Antyfilo?

Skromnie lecz stanowczo uchyliła się z pod jego ręki i, odrzuciwszy górną połę swego chitonu, ukazała Minosowi krwiste plamy, okalające jej szyję.

— Opaliła mię błyskawica Zeusa; ciało me, to — żywe „enelizjum“, święte dla wszystkich, zwłaszcza zaś dla ciebie, synu Zeusowy!

Minos cofnął się z przestraczem, zdjął nad tronem jego wiszącą labrję, srebrny topór o dwu

ostrzach miedzianych, godło Zeusa kreteńskiego, i, pocałowawszy go, dotknął nim czoła i piersi.

Prokrida, zadowolona, ciągnęła dalej:

— Nie obawiaj się, potrafię być niewolnicą pożyteczną. Umieję żąć, suszyć, mleć; znam wszelkie zaklęcia, ocalające i kłosa od rdzy, i ziarno od śnieci, i mlewo od skażenia pyłem kamieni młyńskich. Czy przystajesz więc na warunki?

Minos kiwnął głową i kazał wołać komornika:

— Jest to Antyfila, nowa niewolnica, jaką Euegoras przywiózł mi z Attyki.

Poczem, widząc, że grube rysy komornika rozplynęły się w uśmiechu, który nie wróżył nic dobrego, dodał, znacząco podnosząc labrję:

— Jest to piorunnica ojca mojego, Zeusa; gorze tobie i wszystkim, ktoby choć palcem dotknął kraju jej szaty!

X.

Upłynął rok.

Do bogatego ongi dworu Kefalosa pod Hy-mettem zbliżała się kobieta; kroczyła z trudem, raz po raz wspierając się na kij, który miał kształt niezwykle i zdaleka świecił swem miedzianem ostrzem; w istocie był to nie kij, ale oszczep — oszczep niechybny; wszelako w znużonej kobiecie niełatwo było odpoznać Prokridę.

Dwór znalazła takim, jakim go opuściła. Wszystko było puste; w najgłębszej dopiero izbie środkowej, kędy przechowywały się skarby domowe, odnalazła staruszkę, która, zoczywszy swą panią, z głośnym płaczem rzuciła się jej na szyję.

Była to jej piastunka, Polimela. Natychmiast ją opowiadać, jak po jej odejściu wszystko się czeladź rozbiegła, jak wszystko zostało złupione i jak z trudem zaledwie udało się jej ocalić skarbiec pański.

Prokrida słuchała jej z roztargnieniem.

— Powiedz mi lepiej co innego, nianiu: czy masz u siebie co do jedzenia? Ja od dwóch dni nie miałam nic w ustach.

— Znajdzie się coś nie coś, dziecinko; przy całej biedzie, na dwie osoby starczy.

— Na troje musi starczyć, nianiu.

— Na troje? A któż jest trzeci?

Prokrida dumnie wzniosła głowę:

— Mąż mój. Niema go jeszcze, ale przyjdzie. Skąd przyjdzie, nie wiem, ale przyjdzie, przyjdzie jeszcze dziś, i wszystko znów będzie po dawnemu.

Starowina ją się krzątać. Niebawem stół był zastawiony, jak należy: trzy miski, trzy kielichy, w każdym iskrzyło się wino. Prokrida nie tknęła ani chleba, ani wina, wciąż jeno patrzyła w drzwi środkowe. Nakoniec drzwi się otwarły i Kefalos wszedł.

— Siadaj — rzekła doń tkliwie i poprostu, jak gdyby rozstali się byli ze sobą przed godziną.

XI.

Uczta się skończyła; piastunka poszła do swej izby. Wtenczas dopiero Prokrida przycisnęła głowę do piersi męża, ogarnęła szyję rękoma i cicho rzekła:

— A teraz możesz mi powiedzieć, kędyś bywał przez ten rok cały?

— Byłem w zamku Jutrzenki.

— Mów dalej.

— W rajskich rozkoszach i w szczęściu upłynął mi ten czas. I bogini wszystko dzieliła ze mną, wszystko...

— Mów dalej.

— Pozostawało tylko jedno: nieśmiertelność. Już miałem puhar nektaru przed sobą; ale wiekuiste prawa bogów stawiają śmiertelnym jeden warunek niezłomny: trzeba zapomnieć o wszystkim, co ziemskie.

— A ty?

— Gdy rozwarły się przedemną podwoje zamku Jutrzenki, ogarnęła mię fala takiej szczęśliwości, że zapomniałem o wszystkim, i gdyby wówczas bogini podała mi swój puhar, wychyliłbym go bez wahania. Ale przedtem upłynąć musiały trzy dni i trzy noce; trzeciego zaś dnia przypomniałem — ciebie.

— Było to wtenczas, gdy ja zaczynała swą służbę u króla Minosa.

— Jaką służbę? Czyż ty nie cały czas spędziłaś tutaj?

— Nie pytaj jeszcze, opowiadaj dalej.

— Przypomniałem ciebie i nie mogłem już odtąd zapomnieć. Otaczało mię szczęście i przepych życia rajskiego, lecz w duszy mej była tęsknota; i oto, widzisz, jestem tutaj. A ty?

— Mnie otaczała nędza i poniewierka doli niewolniczej, lecz w duszy mej była radość, wie-

działam, że zobaczę ciebie. Praca była ciężka, zwłaszcza przy żarnach. Trzeba było wpierać się piersiami w drąg i chodzić dokoła, od wczesnego rana do późnego wieczoru, dzień w dzień. Spójrz, długo tę pracę będę pamiętała!

Rozpięła chiton i ukazała mu pod samą pierśią długą, krwawą brózdę; boleśnie ścisnęło się w nim serce, lecz zauważył on przytem jeszcze coś innego.

— Prokrido, a gdzie te okropne plamy krwi-ste, które zostawił na twej skórze naszyjnik?...

— Naszyjnik Jutrzenki? — spytała z uśmiechem.—Plamy bladły z każdym miesiącem, aż znikły nareszcie, skoro dopełnił się rok. I wtenczas otrzymałam swą nagrodę od króla Minosa—oszczep niechybny, godzący zawsze w cel. Onego czasu chybiłeś jelenia, teraz żadna już zwierzyna nie ujdzie przed tobą. Strzeż go, Kefalosie: zapłaciłam zań swą urodą.

Prokrida badawczo popatrzyła mu w oczy. lecz w oczach nie było nic, prócz miłości i słodyczy,

— Ciężka była służba—mówiła dalej—nieraz ze znużenia zasypiałam, stojąc, oparłszy się pierśią na drąg, ale natychmiast budził mię groźny okrzyk nadzorcy: „Antyfilo, zbudź się!“ Antyfila—to byłam ja...

— Prokrido, na ciebie krzyczeli. Ciebie, być może, bili. I może jeszcze, jeszcze... coś gorszego...

Prokrida po raz wtóry badawczo nań popatrzyła i znów ujrzała w jego twarzy jeno miłość i tklivość.

— Nikt mnie nie tknął—odrzekła z naciskiem.—

Ci sami, co krzyczeli: „Antyfilo, zbudź się!“ dodawali szeptem: „Piorunnico Zeusa, zmiłuj się nad nami“.

— Piorunnico? Dlaczego piorunnico?

Podniosła nań głębokie spojrzenie swych zapadniętych oczu, i — Kefalos nie powtórzył swego pytania.

XII.

Prokrida przepowiedziała trafnie: wszystko iść znów poczęto po dawnemu. Czeladź powróciła, dowiedziawszy się, że wrócili państwo, przynosząc z powrotem złupione mienie. Dwór już nie wydawał się jej straszny. Który z pastuchów, co widział był Prokridę nad przepaścią Charadry, opowiadał, że zstąpiła ona do podziemi; i, oto, teraz ją krążyć pogłoska, że całoroczną służbą u króla podziemi wyzwoliła męża. Ci, co ją dawniej kochali, teraz poczęli ubóstwiać. Sama zaś wprędce przemogła przykre skutki doznanej udręki: młodość brała górę i, nim kilka minęło miesięcy, Kefalos miał znów swą poprzednią Prokridę, śliczniejszą od wszystkich. Trapiła ich tylko starowinka-niania; wstrząśnięta tem wszystkim, czego doświadczyła, zległa do łóżka, i nie było już nadziei, aby mogła wyzdrowieć.

Stare życie dogorywało, zapalało się natomiast nowe; po upływie roku Prokrida mogła sprawić mężowi uciechę wiadomością, dzięki której stała mu się jeszcze droższą.

— Widzisz — rzekł do niej — tam, na niebiosach, nie mogłem zapomnieć o świecie ziemskim,

a przy tobie zapomniałem o wszystkim, com przeżył w niebie.

Mówił prawdę, Prokrida o tem nie wątpiła. Wszystkie szczegóły również swego pierwszego widzenia już wcześniej zdążył był jej opowiedzieć, jak gdyby w tym właśnie celu, aby się ich pozbyć i zapomnieć.

— Dlaczegoż to nie idziesz wypróbować swego oszczepu niechybnego, który z takim trudem dla ciebie zdobyłam?

— Wypróbuję go przy sposobności — odpowiedział.

Sposobność niebawem się zdarzyła.

XIII.

Znów olbrzymi ów jeleni ukazał się w lasach Charadry, na górnym skłonie Hymettu. Znów należało z wieczora udać się do lasu, aby w milczącej zasadzce oczekiwać świtu.

Prokrida ze spokojem wyprawiała męża.

— A ty co będziesz robiła? — spytał Kefalos.

— Wcześniej legnę spać, aby zbudzić się nad ranem, i zobaczyć, jak przybijają będziesz rogi jelenia do tryglifu naszego domostwa.

Poszedł. Ona zaś długo spoglądała za nim, pojąc wzrok siłą i harmonją jego ruchów, oraz lśnieniem czarnoksięskiego oszczepu w promieniach zachodzącego słońca.

Położyła się i zasnęła, ale sen jej nie trwał długo. Ocknęła się wśród nocy z krzykiem, rękoma szukając Kefalosa obok siebie. Nierychło przypo-

mniała sobie, gdzie jest on obecnie; lecz przypomnienie to nappełniło serce jej nową tajemniczą trwogą. Jak mogła wyprawić go samego?

Podeszła do okna i otworzyła okiennice. Była północ, księżyc wzbił się wysoko i zalewał swym blaskiem Hymett oraz równinę Mesogji.

Cyt... ktoś jęczy... tak, to jęczy biedna, chorą niania. Trzeba ją odwiedzić; lecz naprzód Prokrida ubrała się i odziała, jak do wyjścia.

Niania spostrzegła to:

— Dokądże to, dziecinko?

— Do niego, nianiu, Źle zrobiłam, puszczając go samego. Ale ty nie obawiaj się niczego: nad ranem wrócimy oboje, a tymczasem posiedzi Klimena przy tobie.

— Nie o siebie mi chodzi; mogę i sama jedna umierać. Ale ty nie chodź...

Staruszka nagle dźwignęła się na posłaniu, chwyciła ręce swej wychowawicy: oczy jej były szeroko otwarte.

— Ty nie widzisz, ale ja widzę...

— Co widzisz?

— Różę...

— Tak?—krzyknęła Prokrida.—W wieńcu róż? I w stroju, różami usianym?

— Nie, jedną różę... różę na zieloności... różę okropną...

Najwidoczniej, mówiła w gorączce! Prokrida ostrożnie rozwarła jej dłoń i z powrotem ułożyła ją na posłanie. Stara znów zaczęła jęczeć, powtarzając niekiedy swe słowa ostatnie:

— Różę na zieloności... różę okropną...

XIV.

Wszystko było widać, jak w dzień. Prokrida szybko doszła do stóp góry, w tem miejscu, kędy Charadra kaskadą rzuca się w przepaść. Tu wydało się jej, że skroś szum fali słyszy swe imię.

Zbliżyła się do potoku. Biała jego piana zdawała się jeszcze bielszą w promieniach księżyca. Zrazu nie mogła rozróżnić nic poza pianą; lecz, usłyszawszy raz jeszcze, i przytem wyraźnie, swe imię, ujrzała jak gdyby dwa robaczki świętojańskie tuż obok we mgle głębin i zrozumiała, że były to oczy najady.

— Wybacz mi, nimfo, i nie gniewaj się na mnie; na najbliższym nowiu krew jagnięcia zarumieni twe fale. Pamiętam twoje dobrodziejstwo i nie zapomnę go nigdy.

— Dobrze, że pamiętasz. Na szczęście jego i własne usłuchałaś mnie wtenczas; dla szczęścia obojga usłuchasz mnie i teraz. Wracaj do domu, Prokrido. Nie lękaj się nadmiaru zaufania, wróć do domu.

— Dlaczego?

— Dlatego, abyś mogła zarumienić krwią jagnięcia moje fale na najbliższym nowiu. Nie lękaj się nadmiaru zaufania, wróć!

— Co to znaczy—nadmiaru zaufania?

Jednakże odpowiedzi na pytanie swe nie otrzymała; gdy zaś ją znów szukać obu światełek w mglistej przepaści, już ich nie odnalazła.

— Cóż począć, powrócę, skoro tak.

Poszła z powrotem. Dom jej widniał przed

nią, jak na dłoni; poza nim wzgórze, odgradzające Mesogję od smugi wybrzeża morskiego. Gwiazdy tonęły w poświęcie księżycy; Prokrida wszakże bez trudu obliczyła, że tam, nad morzem, wschodzi teraz Baranek. Za Barankiem wzejdą Plejady, a wtenczas...

Drgnęła: róża na zieloności, róża okropna...

I krokiem stanowczym, nie oglądając się po za siebie, poszła pod górę.

XV.

Otóż i skłon najwyższy; wszystko widać tak jasno w świetle księżycowym. Pod platanem, nad łożyskiem Charadry, spoczywa Kefalos. Drzemie snadź czujną drzemką myśliwską, dłoń jego nie wypuszcza cudownego oszczepu. Tak, tym razem zwierzyna mu nie ujdzie.

Skryła się w zaroślach na murawie. Kefalosa z tego miejsca nie było widać, pod oczami jej zato roztaczała się cała Mesogja wraz ze swemi dolinami i wzgórzami, a dalej morze mgły, a dalej kamienne obszary Eubei, Androsa, Tenosa. Wszystko zdawało się jakby nierzeczywiste, wszystko budziło trwogę: „Gdyby nie było tu w pobliżu jego, oszalałabym ze strachu“.

Oto, księżyc jął znikać za grzbietem Hymetta. Olbrzymia ściana czarna opuściła się z góry i jęła sunąć po równinie, pochłaniając doliny i wzgórze Mesogji, potem pas mgły, potem góry na wyspach, a wreszcie i niebo. Na niebie ukazały się gwiazdy; tam, ponad niewidzialną górą

iskrzyło się złote runo Baranka, nieopodal snadź były Plejady.

Znów przygasły gwiazdy, bladeść przedświatna pokryła błękit nieba, na jej zaś tle coraz wyraźniej jął rysować się dwuskrzydły namiot góry androskiej.

Oczy Prokridy płonęły od bezsenności i napięcia; im bliższa była godzina świtu, tem głośnieję było jej serce, biło tak głośno, że lękała się, aby Kefalos uderzeń jego nie usłyszał.

Oto zapaliło się... nie jeszcze... Prokrida przetarła oczy... ach, jak były gorące, te oczy biedne, pod dotknięciem jej chłodnej ręki! Znów spojrziała ku wschodowi... Tym razem nie było już wątpliwości: różowy płomień strzelił z góry androskiej i jak pocisk wzbil się na wyżynę: za nim drugi, trzeci. Z tenoskiej także, i z eubejskiej... całe niebo zbrózdzone różowemi słupami. Oślepiąca, odwróciła oczy ku czarnej ścianie Hymettu. Bogowie! I tutaj to samo, wszędzie słupy różowe.

Oderwała spojrzenie od góry, zwróciła je na poblizki gaj wierzbowy i krzewy oleandru. I tutaj to samo, wszystkie krzewy płoną, wszędy kolumny, i słupy, i róże, róże, róże. Cała ulewa róż pada wokoło z nieba, z drzew, zewsząd.

Znikły niebo, lasy, góry, wszystko dokoła roztapiało się w purpurowej lunie...

— To zamek Jutrzenki! Kefalosisie, Kefalostiel! Rzuciła się ku niemu.

Zaszumiało w zaroślach. Kefalos ocknął się.

— Jeleń! Dopomóż, Artemido!

I niechybny oszczep śmignął ku niewidzialnej

zwierzynie, błyskając swem ostrzem miedzianem
w różowym blasku Jutrzenki.

.
Gdy nad Androsem wzeszło słońce, promie-
nie jego oświeciły jelenia, spokojnie pijącego wodę
Charadry, wśród milczenia drzemącej góry.

KRÓLOWA WICHUR

PROLOG

I.

— Wierzaj mi, pani — rzekła wróżka, sowitą ucztę jeszcze sowiciej zapijając winem: — nie będzie to żadne proroctwo, co ci powiem, lecz głos długoletniego doświadczenia: albo to mało was, młódek, przewinęło się przez moje ręce? Jakoż ze wszystkiego widzę, że znów u ciebie zanosi się na dziewczynkę...

— A bodaj ci język usechł! — z gniewem wtrąciła Polimela, leciwa piastunka maleńkiej królewnej Prokridy. — Oplaciło się też podejmować wszystkie te przybłędy, walęsające się dokoła naszego Akropolu.

— Daj jej pokój, — surowo przecięła królowa Praksytea, — cóż ona winna temu? Powiedz mi lepiej, czcigodna podróżnico, i tym razem już, jako wieszczbiarka: w jaki sposób mogłabym odzyskać łaskę bogów, iżby obdarzyli mię królewiczem.

Podróżna popiła wina i pogrążyła się w zadumę. Nastąpiła uroczysta cisza. Polimela, nawet i ta, mimowoli zataiła oddech.

— Powiedz mi, naprzód, królowo, czy odby-

łaś po swym ślubie pielgrzymkę do Hery Cyteronńskiej?

Królowa oblała się rumieńcem. Rozmówczyni jej smutnie pokiwała głową i popatrzyła na nią swemi dużemi oczyma.

— Bogom nie potrzebne są hołdy śmiertelnych, — ciągnęła dalej: — ale śmiertelni powinni życie swe uświęcać obcowaniem z bogami; ludowi zaś przykład powinni dawać pobożni królowie.

Znów Polimela, niezadowolona, poruszyła się na swem miejscu, lecz, spotkawszy surowe spojrzenie królowej, zamilkła.

— Nie zapomnij-że w następne święto królowej niebieskiej — będzie to za miesiąc — udać się do niej na Cyteron. aby wybłagać przebaczenie.

— Ale...—spróbowała przeciwieć się Praksytea.

— Znam twoje „ale“; chwała bogom, nie jestem dziewczką. A jednak powiem ci: idź. Nie bój się niczego: ja tam będę.

— Jakżeby tam bez ciebie się obeszło! — nie wytrzymała Polimela, — też piękność niebylejaka, niema co mówić! Strzeż się jeno, abyś Zeusowi w oko nie wpadła: lichy nie śpi, Hera jest za zdrosna, i będziesz potem chodzić po świecie z rogami, jak Io.

— A więc tam się spotkamy. Przyjdź nieodwołalnie. A teraz dzięki za twą gościnę; i skoro innych pytań nie masz, to już pójdę.

— Pójdiesz, o ile wstaniesz! — nie przestała Polimela. — Łatwo to powiedzieć, dwa dzbany wysączyła.

— Ty, Polimelo, — przerwała jej Praksytea, — pomogłabyś lepiej gościowi i odprowadziła ją do bramy.

Zdarzyło się wszakże to, czego się nikt nie spodziewał. Podróżna wstała lekko i, pożegnawszy się ze wszystkimi skinieniem głowy, równym krokiem udała się ku drzwom. Zdawało się nawet, że stała się wyższa, niż przedtem; szczególnież dziwiła wszystkich białością swych ramion krągłych, której nikt wprzód nie zauważył. Przeciwnie, Polimela, mimo wszelkie usiłowania, w żaden sposób nie mogła dźwignąć się z miejsca.

— Polimela, com ci powiedziała?

— Sama nie rozumiem, królowo; wszak widziałas, nie tknęłam ustami puharu. Wszystko zaś wino, które wysączyła ta przybłęda...

Nie mogła dokończyć; komnatę opromieniło nagle niespodziane światło. W drzwiach stała podróżna, lecz szata jej jakgdyby płonęła złotem i również złotem płynnem ociekały pierścienie jej włosów. Trwało to zaledwie przez mgnienie oka; drzwi się zatrzasnęły, i szara mgła zmroku zimowego znów wypełniła komnatę.

Wszyscy wstali mimowoli; tylko Polimela, gramoląc się usilnie, nie zdołała jednak opuścić swego fatalnego stołka.

— Wypadnie mi chyba siedzieć póty, póki Djonizos zechce, — rzekła, wzdychając.

Ale już nikt nie zwracał na nią uwagi.

II.

Uroczystość nocna Hery Cyterońskiej dobiegała końca. Stos olbrzymi, który strawił już czternaście drewnianych wizerunków bogini, dogasał; już widać było sierp młodego księżyca, żeglujący, nakształt łodzi, po modrem niebie zimowem.

Praksytea wraz ze swą gospodynią, królową tanagryjską Asopidą, powracały do swego namiotu, przed którego wejściem stały dwie tanagryjki z pochodniami w rękach. Jedna z nich podniosła zasłonę, aby wpuścić obie królowe.

Te wszakże weszły nie odrazu: jakiś odgrom daleki zmusił je do obejrzenia się poza siebie.

Ostatnie płomyki stosu zdążyły już zagasnąć; szczyt Cyteronu był już opuszczony od wszystkich. Lecz ponad ołtarzem Hery dostrzec można było jakieś dziwne białe postaci, świecące światłem bladym, widmowem. Ni to kobiety, ni to ptaki, ale ptaki olbrzymie, z błyszczącymi skrzydłami. Postaci te krążyły z szaloną chyżością, coraz niżej, coraz bliżej; i coraz wyraźniej rozlegał się srebrzysty odgłos ich skrzydeł. Praksytea gorączkowo ścisnęła dłoń swjej gospodyni. „Co to znaczy? Kto one są?“

Lecz Asopida sama trzęsła się wszystka ze strachu, i purpurowe światło pochodni nie mogło zarumienić martwej bladości, jaka twarz jej pokryła.

— Nie wiem... Rokrocznie bywam na uroczystości czcigodnej władczyni cyterońskiej, lecz widzę *je* po raz pierwszy... a lękam się, czy nie ostatni.

— *Są to wichury* — ozwał się niespodzianie gromki, głęboki głos z namiotu. I acz w słowach tych żadna nie brzmiała pociecha, jednakże Praksytea uczuła natychmiastową ulgę. Poznała swą wróżkę.

— Wichury, rześkie nimfy króla Północy, Boreasza, — ciągnęła dalej tamta. W niewłaściwą odwiedzają nas porę, przed końcem dni alkjońskich; lecz jest to jedna z fantazj starego. Wejdźcie, królowe, i nie lękajcie się niczego.

Weszły. Wróżka ujęła je obie za ręce i pociągnęła ku sobie — z nieziemską, jak im się wydało, siłą. Ale i siła owa sprawiała działanie kojące.

Odgrom rozlegał się coraz donośniej, a towarzyszył mu ogłuszający trzask.

— Swawolą, — tłumaczyła wróżka. — Chwyciły niedopalone głównie stosu i bawią się niemi, jak piłką. Rozrzucity cały stos. I patrzcie, cały plac śniegiem zasypały.

Widziała wszystko; płótno namiotu stało się dla niej jakby przezroczytem.

Jeszcze głośniejsze, jeszcze bliższe — i grzmot, i świst, i wycie. Płótno namiotu wygina się, gniew się, coraz bardziej. Czy długo wytrzyma? Ale królowe nie czują strachu. Wróżka trzyma za rękę Asopidę i objęła ramieniem kibić Praksytei, zlekka pochylając ją ku sobie na pierś.

— Nie lękaj się, córo; są one bardzo blisko, wiem o tem, ale nie miej obawy!

Namiot ugina się, pale trzeszczą; śmiech i hałas słyhać ze wszęch stron. Oto jedna linka pękła, za nią druga, trzecia. Namiot zawalił się, po-

grzebał pod sobą swe mieszkanki, owinał je w swe płótno. Wichury podchwyciły namiot i jeły toczyć go wokół ostatniego pala. Nareszcie i ten ostatni był wyrwany, wichury wzbity się wraz z łupem na powietrze i podniosły go wysoko nad stokiem góry, wzdłuż doliny Cykloboru.

...Gdy Praksytea się ocknęła, słońce poranne pogodnie uśmiechało się z jasnego nieba. Czują się cała i zdrowa, obok niej, również nie doznawszy uszczerbku, stała Asopida. Na jej zaś rękach, spowite w kawałek płótna z potarganego namiotu, drzemało niemowlę, dziewczeczka, jako przepowiedziała jej była podróżna. Sama ona już znikła.

Nowonarodzonej dano imię „Orytja“. Znaczy to — „szalejąca w górze“.

III.

Minęło lat siedemnaście. Orylta wyrosła na pannę. Zalotników było pod dostatkiem, a i panna sama nie stroniła od małżeństwa. Ale do zaręczyn nigdy nie dochodziło.

— Ojczy, — odpowiadała dziewczyna na wyrzuty Erechteusza, — czyż jam winna temu? Wyjdę za mąż za każdego, którego mi wybierzesz, czy to będzie królewicz, czy też drwal parnecki; żądam tylko jednego, aby narzeczony mój kochał mnie i miłość mi swoją wyznał. Czyż to tak trudno?

Erechteusz nie mógł nie zgodzić się z córką a jednak nikt z młodzieży nie zgłaszał ochoty. Zdawało się, jakgdyby wszystkim ów strach, które go nie doświadczyła Praksytea podczas korowodu

Wichur, udzielał się teraz młodzieńcom, którzy zbliżali się do „szalejącej w górze“. Wystarczało, by ktoś z nich pozostał sam na sam z nią, wystarczało, aby zatrzymała na kimś swe spojrzenie palące i badawcze, a natychmiast młodzian ów czuł się jakby rażony piorunem, ręce jego stawały się bezwładne, oddech zamierał. Królowna postoi przez chwilę, postoi wśród głębokiego milczenia zobopólnego, i — oddali się, gniewnie trzasnąwszy drzwiami. Młodzieniec zaś nie odrazu odzyskiwał dawną pewność siebie.

— Nie, nie! Łatwiej samej Herze Cyterońskiej miłość swą oświadczyć, niżli jej!

— Słuchaj, córko, — rzekła jej razu pewnego Praksytea: — miałam sen wieszczcy o twym ślubie. Przyśniła mi się Ona, — wiesz, ta, której ręce dobrotnie spowity cię w ową noc. I mówi do mnie: pokaż ją, podczas najbliższej teorii, Artemidzie Deloskiej. Wróci od niej jako narzeczona, jako narzeczona królewskiego oblubieńca.

IV.

Ale i ta nadzieja jakgdyby zawiodła. Nigdy Delos nie widział wspanialszej teorii; zdało się, że młodzież całej Hellady zebrała się na łagodnych brzegach Krągłego Jeziora, aby ujrzeć wtórą Artemidę — tak ją nazywano — i popróbować szczęścia. Atoli wynik był nieodmiennie zawsze jednaki.

I, oto, statek ateński pruł fale w drodze powrotnej, przekradając się skroś labirynt Cyklad ku ojczystej krainie Pallady. Praksytea z córką

siedziały w smętnej zadumie, chłodząc się podmuchem wieczornego wiatru.

Słońce zaszło, nastąpiła noc — wonna noc wiosenna. Pełnia miesięczna kąpała się rozkosznie w błękitnych falach.

I nagle...

— Co ci to, mateczko? — spytała zaniepokojona Orytja.

Matka gorączkowo tylko przycisnęła ją do siebie.

— Patrz!... Patrz!...

— Jakież obłoki białe; cóż w tem straszniego?

— Nie znasz ich, ale ja je znam. O córko, zginęłyśmy; to znów one...

— Kto taki?

— Wichury. Bogowie, i to tu, na morzu, pośród skał! Zginęłybyśmy już wtenczas, gdyby nie Ona. A tutaj...

Rzeczywiście, znów rozległ się znajomy odgłos. Płacz rozpachy odpowiedział mu z okrętu. Potem nastąpiły modlitwy. Po modłach — przekleństwa. Wichury rozhukaną nawałą runęły na żeglarzy; ktoś rzucił się do masztu, aby związać żagle, ale było już zapóźno: jedna z Wichur z głośnym śmiechem rozerwała żagiel przez pół, druga jednocześnie zwała maszt i strąciła go w morze.

— Trytony! Trytony!

W oddali dał się słyszeć odgłos przeciągły, jakgdyby ktoś dał w róg; niebawem rozkołysane fale zaroily się od mnóstwa młodzieńców na wszelakiego rodzaju potworach morskich.

— Jak się macie, siostry! Czemu możemy służyć? Ciskać, zalewać, topić?

— Ciskać — ciskajcie, zalewać — zalewajcie, ale nie ważcie się topić! Wiedźcie jedno: wieźcie naszą królowę.

Orytja sama jedna stała na przedzie okrętu, silną ręką trzymając się zlekka burty: u jej stóp leżała w omdleniu matka, i tarzała się wśród żeber okrętu załoga. Wichury muskały ją swemi puszystymi skrzydłami, osłaniając ją od rozszalałych fal. Na ustach jej lśnił uśmiech, w oczach było oczekiwanie: teraz, teraz powinno stać się coś rozstrzygającego, coś wielkiego!

— Jestem tu, czekam cię; gdzie jesteś? Przyjdź, mój wytęskniony, obiecany!

V.

Kołysał się na czarnej chmurze, cały biały, pod namiotem swych ciemnych skrzydeł; śnieg sypał się z siwych jego włosów i siwej brody; szronem iskrzyły się jego brwi; lecz mocniej jeszcze iskrzył się żar namiętności w jego głębokich oczach.

— Orytjo, kocham cię! Wybrałem cię w godzinę twych narodzin i nazaczyłem cię swym piętnem. Sama królowa niebieska dała mi ciebie. Czy chcesz pójść ze mną?

— Jeśli mię kochasz, pójde z tobą; tyś jest pierwszy i jedyne, który mi to wyznał. Lecz ta, którą wymieniłeś, mówiła nam, że jesteś królem; kędyż jest twoje królestwo?

— Królestwo moje, to — nieogarnięta, pół-

nocna kraina rzek lodowatych i odwiecznych lasów. Wzdymają się rzeki wśród roztopów wiosny, szeroko zalewają pola okoliczne; ale jeszcze szerzej i wyżej piętrzy się wielki ból, bezradna udreka serc mego nieszczęsnego ludu. Lasy szumią pod naporem moich Wichur, gną się i trzeszczą targane wiatrem konary; ale głośniejsze jeszcze rozlega się pieśń-jęk z umęczonej piersi mego nieszczęsnego ludu. Orytjo, przy ojcu twego rodzica, ziomek twój Tryptolem, wychowaniec Demetry, przyniósł nam dar zboża, i odtąd falują i u nas łąny zielone; ale chleba duchowego wciąż nie ma jeszcze nasza zimna kraina; ten chleb duchowy przyniesiesz nam dopiero ty, kwiecie mój słoneczny, wykołyszany tchnieniem ciepłych mórz.

— Jeśli jestem wam potrzebna, pójdę za tobą; z ochotą i dumą rzucić będę ziarna naszej Pallady w rolę, która żywi już ziarno naszej Demetry.

— Orytjo, nasz nieoświecony, nieszczęsny lud nie zna i nie uznaje tego, co jest święte dla was. Pragnę, abyś szła ze mną ku niemu, ale nie chcę cię okłamywać: zimno jest w naszym kraju, i tęsknota cię ogarnie za bielą świątyń, za aromatem gajów, za ciepłem i za uśmiechem twej Hellady.

— Przyniosę ze sobą ciepło, i uśmiech: będzie to wiano moje dla twego ludu. Jeśli jestem wam potrzebna, pójdę za tobą.

— Orytjo, nie mogę obiecać ci nawet wdzięczności ze strony tych, którym świadczyć będziesz dobrodziejstwa. Pamiętaj, lud mój zna jedynie poryw nienawiści i wzajemnej wroźdy śmiertelnej, od której niszczeje jeszcze bardziej; nie zna on

porywów radości i porywów kochania. I jestem pewny, że nienawiść swą wymierzy także przeciw tobie i twojej nauce, nauce radości i kochania. Czy gotowa jesteś podjąć i tę próbę najwyższą, ostateczną?

— Los mój—dawać, nie zaś brać. Jestem gotowa do czynu ofiary dla twego ludu; gotowa kochać, nie być kochaną, a jednak kochać...

VI.

— Czy zaszło już słońce?

Królowa Praksytea leżała samotna w świetlicy swej przed otwartą okiennicą: spoczywała na posłaniu, do którego przykuła ją boleść po stracie starszej córki, królowy Prokridy. Tam, w komnacie sąsiedniej, piastunka usypiała jej najmłodsze, zupełnie jeszcze maleńkie dzieci, królewicza Kekropsa i królownę Kreuzę; sama zaś oczekiwała na leczniczy napój i uzdrawiającą pieśń swego średniej, opory domu — królowy Orytji.

— Czy zaszło już słońce?

Napróżno, dzwignawszy głowę, wyteżała oczy w dal: gęste chmury przesłaniały niebo od strony Parnetu; w dolinie był mrok, ale czy mrok wieczoru, czy też mrok słoty, tego rozemnić nie mogła.

Orytja, jeszcze w południe, gdy niebo było czyste, udała się z przyjaciółką na pagórek Ardettu nad rzeczką Ilissem; wypadało jej, jak mówiła, dopełnić pewnego obrzędu przedślubnego ku czci Artemidy Deloskiej: co to był za obrzęd, i z kim miała połączyć się ślubem, tego matce nie powie-

działa. Wielu rzeczy teraz jej nie mówiła, jakkol-
wiek kochała ją serdecznie po dawnemu, i więcej
niż dawniej.

Otóż, wyszła i dotąd nie wracała; a słońce,
zapewne, już zaszło niepostrzeżenie za tym czar-
nym Egalejem.

— Cyt... ktoś idzie... Ona? Nie, to nie jej kroki.

Drzwi się otwarły, i w drzwiach ukazała się...
Praksytea wyprostowała się górną połową ciała
i podniosła rękę na powitanie. Wróżka! ta wróżka,
którą poznała była w noc święta cyteronńskiego,
i której dotąd nie widziała.

I, jak wówczas przestach i ból, tak samo te-
raz troska i zmartwienie znikły natychmiast pod
wpływem jej spojrzenia, pod dotknięciem jej dłoni.

— To ty, czcigodna? Ale gdzież jest córka
moja i jej przyjaciółka?

— Jej przyjaciółka? — wymijająco odпові-
działa wróżka. — Stoi nieruchomo na stoku Ardettu
w niemym bólu i taje, taje we łzach, z każdą chwilą
niknąć coraz bardziej. I, gdy obywatelki ateńskie
wyjdą nazajutrz na brzeg Ilistu, nowy źródłecz-
niczy przypomni im o zniknięciu dziewczyny,
i o przyczynie jej strapienia: *o porwaniu Orytji przez
jej narzeczonego Boreasza*.

To mówiąc, siadła na posłaniu chorej królo-
wej i opasała stan jej swą białą ręką, broniąc
udręce dostępu do jej serca. Królowa popatrzyła
na nią; bezgraniczne zaufanie zaślśniło w jej oczach.

— Porwana została, mówisz? I nigdy nie ujrzę
jej więcej?

— Nie, ujrzysz... jeszcze raz ją ujrzysz.

Trąciła drugą okiennicę swą wolną ręką; sze-
roka smuga nieba rozwarła się przed oczyma kró-
lowej. Pośród czarnej chmury płonęła purpurowa
łuna, niby krater wulkanu; fantastyczne postaci
białe raz po raz błyskały na tle łuny, szybko pę-
dząc w dal, jedna za drugą.

— Poznajesz świętą króla Północy? — zapytała
wróżka. — Mkną one, aby zwiastować jego ludowi
nadejście królowej. A teraz ujrzysz i ją samą.

Śladem białych postaci sunęła chmura... nie,
nie chmura, lecz olbrzym skrzydlaty o ciemnych
skrzydłach i jasnym ciele: w purpurowym świetle
wyraźnie widać było jego głowę siwą. I jeszcze
wyraźniej kształt biały, niesiony przez jego mo-
carne ramiona. Królewna wyciągnęła prawą rękę
na pożegnanie po raz ostatni ku skale Pallady,
domowi Erechteusza i tej, która czekała na nią
w tym domu. Jeszcze mgnienie, i wszystko znikło.

Praksytea przymknęła powieki:

— Czy znajdzie tam szczęście? — spytała
szepem.

— Ona da szczęście, — odrzekła wróżka.

Praksytea uśmiechnęła się, poczem głowa jej
opadła ciężko na ramię jej pocieszycielki. Ta zło-
żyła ją na jej białem, zalanem jasnością purpurową
posłaniu.

— Bądź jej miłościwa, siostró moja, królowo
pól błogosławionych!

TAJEMNICA DŁUGICH SKAL

I.

Były Antesterje, wiosenne „święto kwiatów“. Kreuzie, najmłodszej i wtenczas już jedynej córce starego króla ateńskiego Erechteusza, wypadło w dniu tym, zszedłszy z Akropolu na łąkę u stóp góry, narwać kwiatów, aby ozdobić niemi grób matki — Praksytei. Piastunka królowny, Eurynoma, wiedząc o tym jej zamiarze, weszła do jej świetlicy, aby ubrać ją w szatę ciemną, licującą z dniem wspominkowym.

Zastała Kreuzę jeszcze śpiącą, z błogim na ustach uśmiechem; lecz widocznie światło dzienne, wtargnąwszy przez drzwi uchylone, rozproszyło jej sen. Podniosła się, chwyciła Eurynomę za rękę, lecz przez długą chwilę nie mogła słowa wymówić. Wreszcie, otrzytomniała; ujrawszy na ramieniu starowiny chiton koloru popielatego, zachnęła się ze zgrozą.

— Nie, nie, nie ten. Przynieś mi z uroczystej szafy chiton biały ze złotą lamą, przez matkę moją haftowany.

— Co ty, dziecinko! Czyżbyś zapomniała jaki dzień dziś mamy? A zresztą, nie dałabym ci go

i w innym dniu: życzeniem matki twojej było, abyś wdziała go po raz pierwszy w dzień twoich godów małżeńskich.

— Posłuchaj, nianiu, jaki miałam sen. Podszedł do mnie jakiś młodzian boski, takiej piękności, jakiej nigdy jeszcze nie widziałam. Ujął mnie za rękę i rzekł: „Kreuzo, przywdziej chiton, przez matkę twoją haftowany, i wyjdź na łąkę u stóp góry, obok Długich Skał.

— Ale *prawo*, dziecinko, prawo!

— Nianiu, a skądże pochodzi i to prawo, skoro nie od bogów? A sen czyż także nie od bogów? Jeśli zaś bóg dał prawo, to może on chyba i uwolnić od niego.

— Oh, dziecinko, niebylejaki masz rozumek; gdzież mnie starej dotrzymać tobie kroku! Ale pamiętaj jedno. Matka twoja, nieboszczka królowa Praksytea, tkala na krosnach, jak nikt w Atenach; a myślę nawet, że takiej mistrzyni drugiej obecnie w całej Helladzie się nie znajdzie. Jej chiton, to— cud piękności: pamiętaj, strzeż go!

Niebawem chiton Praksytei odział młode ciało jej córki. Piastunka miała słuszność: piękności był zdumiewającej. Przedstawione było na nim zwycięstwo Pallady-Ateny nad olbrzymem Enkeladem. W środku stała bogini, w prawicy potrzasała egidą z głową Gorgony; z lewej strony leżał w prochu olbrzym, usiłując odwrócić twarz od straszego widoku; z drugiej strony sama Ziemia górną połową postaci dźwigała się ze swego żywiołu, błagając tryumfatorkę, aby oszczędziła jej syna.

II.

Tymczasem, nim Kreuza, zszedłszy z Akropolu, znalazła się na łące u Długich Skał, nastąpiło już południe.

Przedewszystkiem, minawszy źródło Klepsydrę, królowna podeszła do jaskini, naówczas jeszcze dość głęboko sięgającej w łono skały. Jaskinia była poświęcona nimfom; tu, wedle mniemań ludzkich, zamieszkiwały one; stąd dochodziły odgłosy ich pieśni; stąd też błogosławiły one łąkę, najbardziej soczystą i kwitnącą w całej okolicy. Ołtarz ich stał przed jaskinią; Kreuza odmówiła modlitwę przed ołtarzem i złożyła na nim pierwsze kwiaty, jakie zerwała na łące.

Poczem wróciła na łąkę. Zieleni jeszcze na niej nie było—pora była wczesna—zato kwiatów było mnóstwo: anemony i maki, fijołki i narcyzy. Kreuza miała koszyk; ostrożnie, uniósłszy chitonu, aby nie podrzeć go o kolce cierni zeszłorocznych, jęła się roboty.

Gdy zstępowała z góry rodzimej, pieścił ją ciepły podmuch południowy, wionący od zatoki Saronńskiej; teraz o południu wiatr ustał, wszystko się uciszyło. W tej nieruchomej ciszy południowej było coś obezwładniającego. Słońce, mimo pory wczesnej, dość wyraźnie przygrzewało, lecz promienie jego, zdawało się, także zastygły i kładły się wokoło ciała, niby jakaś zbroja okuwająca ruchy. Kreuza czuła, że nieznaną jej dotąd omdlałość poczyna krążyć w jej żyłach: ogarniała ją i trwoga i słodycz, jak nigdy przedtem.

A jednak trzeba było wziąć się do roboty. Anemony i maki, fijołki i narcyzy; tak, najmilsze to kwiaty. Powoli wypełniły one koszyk dziewczęcia. Można wracać do domu.

Lecz cóż to? Niewidziany dotychczas kwiat, kwiat szkarłatny o dużych płatkach, ze złotem serduszkami. I obok niego drugi; i trzeci, błękitny, jeszcze śliczniejszy od pierwszego; pomarańczowy, żółty, modry — wszystkie barwy tęczy. I kielichy ich są tak rozmaite: to zwinięte nakształt kulek, to zastrzone nakształt strzałek. I wszystkie wonne, wonne, zapach podobny unosi się chyba tylko w ogrodzie Zeusa, gdzie dziewice-Hesperydę pielęgnowały jabłka odmładzające dla bogów.

Kreuzu przewraca koszyk: żegnajcie, anemony i maki, fijołki i narcyzy! Rwie kwiaty nowe, niewidziane dotąd, rwie, ile tylko zmieścić może koszyk. Dopieroż zadziwi się niania! A zrywać kwiaty tak łatwo: same jakoby garną się do ręki, wystając wszędy, gdzie tylko stopą dotknie ziemi.

Cyt... ktoś woła... Nie, to skowronek śpiewa. Jak dźwięcznie, jak słodko! Te trele poprostu przenikają w duszę wraz z promieniami słońca. Całe powietrze drga pieśnią skowronczą. Dygoce od niej, dygoce...

A jednak ktoś tam woła. Woła z jaskini, wyraźnie słyszy ona swe imię. To nimfy śpiewają; tak! południe: ich to godzina. „Kreuzo — Kreuzo!“ Jak słodko płynie to imię skroś cichego powietrza, jak słodko kołysze się na falach słońca, na falach woni, na falach pieśni skowronczej. „Kreuzo — Kreuzo!“ A dalej co? „Hymenie! Hymeneju!“ Pieśń

godowa? Dla kogo? Dla niej! Ano, tak, przecież i szatę ma na sobie godową. Śpiewajcie nimfy — dajcie wtór, skowronki!

Nie, nie są to już skowronki. Słychać dźwięki, drży od nich powietrze, lecz nie są to pienia skowronków. Są to jakgdyby dźwięki liry, tylko, że na lirze takiej nie grywa nikt ze śmiertelnych. „Hymenie! Hymeneju!“ Głos zabrzmiał i urwał się. Nimfy umilkły: z takimi tonami nie śmia współzawodniczyć nawet nimfy. I kwiaty kędyś znikły; mnikł świat cały. Królowna całym jestwem swoim pije tony niebiańskie, i daje się im pochłaniać. I trwoga, ją ogarnia, i słodycz. Nie, nie trwoga, lecz tylko słodycz, słodycz nigdy dotąd nieznaną. Nigdy? Czyżby naprawdę nigdy?

Przymknęła powieki — przypomniała sobie sen. „Jak cudnie, jak cudnie! Zdaje mi się, że gdyby nagle stanął On przede mną, nie zdziwiłabym się wcale“.

Podniosła powieki... i ujrzała go przed sobą.

III.

Minęła wiosna, lato, jesień; przeszedł słotny Memakterjon, lecz następny po nim zimny miesiąc Posydeon, po kilku cichych dniach „alcyonowych“ przyniósł jeszcze gorszą zawieruchę. Cały dzień sunęły chmury nad równiną, zaczepiając o Akropol pododłem swej wilgotnej szaty; pod wieczór zawirowały, zatańczyły przy świcie orkanu.

W jednej z komnat połowy niewieściej, szczerze zamknawszy drzwi, wiodące do perystylu, grza-

ły się przy kominku dwie staruszki — piastunka Euryнома i klucznica Nikostrata. Obie przędy przy świetle smolnego łuczywa, i starcza ich mowa towarzyszyla snutej z kądzieli nitce.

— W taką noc—rzekła Nikostrata—przybył do nas z Hymettu pastuch z wieścią smutną, że starsza królowna nasza Prokrida i mąż jej leżą zabici na brzegu Charadry. Umilkły naówczas pieśni w naszym domu; król Erechteusz posypał głowę popiołem; królowa zaś Praksytea legła na łożu, z którego już nie było sądzono jej powstać.

— W taką noc — rzekła Euryнома — Boreasz uniósł do Tracji średnią królownę naszą Orytję. Wowczas wszyscy przywdzieliśmy żałobę; król Erechteusz przez trzy dni nie brał strawy do ust, a królowa Praksytea rozstała się ze światem.

— W taką noc—ciągnęła Nikostrata, nawijając nitkę na wrzeciono, — co porabia najmłodsza królowna nasza Kreuza?

— Jakto, co porabia? Śpi w swej świetlicy; cóż innego ma robić?

Lecz Nikostrata pokiwała głową.

— A czyś nie zauważyła, jak się zmieniła ona w ciągu tego lata? Kędy podział się jej śmiech i mądre powiedzenia dziecinne?—Wciąż milczy, rzadka się poczerwieni; porzuciła przyjaciółki, wciąż ku nam starym lgnie, i rozpytuje się o rzeczy, których dziewczicom młodym znać nawet nie przystoi.

— W matkę się wdała—gorąco odparła Euryнома.—Tamta, nieboszczka wszystkie znała trawy jakie tylko ziemia karmicielka rodzi. Ale też i niemocy takiej nie było, na którą nie znalazłaby ona leku

Oto i Kreuza będzie taka sama, — będzie matką dla swej czeladzi, wierzaj mi... Apollinie-obronco, cóż się to dzieje? Zimą biją pioruny?

Poryw orkanu z trzaskiem rzucił drzwi i zagasił łuczywo. Błysnęło. W perystylu ukazała się Kreuza, w chitonie swej matki, ale bez kraju lewego.

— Apollinie-obronco!

Śmiech suchy rozległ się w głębi pogrążonego w mrokach perystylu; po chwili wszystko umilkło.

Obie sztaruszki stały, jakgdyby osłupiałe. Po długiej chwili milczenia Euryнома rzekła:

— Trzeba udać się do niej.

Nikostrata jęła grzebać w węglach kominka i, rozdmuchując ogień, zapaliła zgaszone łuczywo.—Schowawszy je pod narzutkę, wyszła w towarzystwie Eurynomy do perystylu. Ostrożności wszakże były zbyteczne: było zupełnie cicho, przez rozdarliny zaś chmur błyskały gwiazdy.

Wstąpiły, po schodach, do świetlicy Kreuzy. Pierwszą rzeczą, jaka im wpadła tam w oczy, był świąteczny chiton Kreuzy, zawieszony na ćwieku; obficie ściekała zeń woda deszczowa. Euryнома rozłożyła go: tak, lewy brzeg był oderwany, na dwa łokcie szerokości. Pallada stała, jak wprzódy, z ręką podniesioną, ale egidy z Gorgoną nie było już w jej ręce, jak nie było również olbrzyma Enkelada, powalonego w proch przez groźną boginię.

Kreuza leżała w łóżku pod kołdrą. Czy spała? Oczy jej były otwarte, ale nie widziała nic; jaszkrawy rumieniec igrał na jej policzkach, usta szeptały coś niezrozumiałego.

— Dziecinko, co tobie?

Kreuzu nie odpowiedziała. Piastunka chciała ją pogłaskać, ale, zaledwie dotknęła jej piersi, ozwał się lekki krzyk. I znowu wargi jej się ruszać; teraz wyraźnie wyszeptały:

— Długie Skały, strzeżcie mojej tajemnicy!

— Tajemnicy, słyszysz? — rzekła półgłosem piastunka do klucznicy. — Nikomu ani słowa o tem, cośmy widziały i słyszały!

IV.

Znów nastąpiła wiosna, lecz królowi Erechteuszowi przyniosła ona wieści niepokojące. Napierały hufy eubejskie; przepłynęły cieśninę i uniosły mnóstwo głów bydła z równiny maratońskiej. Włoscijanie Czworogrodzia żądali pomocy i poczynali szemrać.

Wypadło królowi zakuć w zbroję swe stare kości i ciągnąć na wyprawę.

— Tak, córo moja — mówił do Kreuzy, żegnając się z nią — ciężko na stare lata królowi, gdy nie ma synów. Dobrze jeszcze, że udało mi się porozumieć z chrobrym wojem tessalijskim Ksutom, młodszym synem nieboszczyka Eola. Pomoże mi on sprawić i moje szyki, i swoją drużynę przywiedzie.

— A jaką za to weźmie nagrodę? — spytała dziewczyna.

— Trzecią część lupu.

Wyprawa trwała przez całe lato, lecz skończyła się zwycięstwem: Eubejczycy byli ukarani, mara-

tończykom zwrócono zagrabione mienie, skarb zaś królewski uzyskał pokaźną zdobycz. Z radością spotkali ateńczycy starego króla-bohatera i jego walecznego sprzymierzeńca.

Nazajutrz, po powrocie, Erechteusz wéwał do siebie Kreuzę.

— Ksutos prosi o twoją rękę — oznajmił król.

Kreuzu pochylila głowę, jakby pragnąc powiedzieć: „Spodziewałam się tego“. Ale na surowych jej licach nie widać było ani uciechy, ani dziewiczego zawstydzienia.

— Skłonny jestem spełnić jego życzenie, — ciągnął ojciec. — Wprawdzie nie jest on pierwszej młodości, i nie pierwszej urody; ale jest mężny, dzielny i prawy. Że zaś nie jest królewiczem-następcą, to jest mi to nawet na rękę. Królewicz-następca uwiózłby ciebie z sobą; Ksutos natomiast zostanie u nas i zastąpi mi syna. Krew w nim jest szlachetna; wszak wiesz, Eol był synem Hellena, a Hellen — synem Zeusa. Wszelako pragnąłbym, aby z wolą moją zgodziła się twoja.

Kreuzu wysłuchiwała go spokojnie i potem rzekła:

— Ojcze, pozwól mi pomówić z Ksutom sam na sam.

Erechteusz, skinąwszy głową, otworzył drzwi, wiodące do małej sali.

V.

Tu Kreuzu ujrzała po raz pierwszy swego przysłego narzeczonego, który siedział na honorowym krześle składanem. Naprzeciwko stało krze-

sło takie samo, pomiędzy zaś niemi — stół niski, a na nim dwa pułhary i miecz, najwidoczniej — Ksuta, odpasany przezeń, wedle obyczaju helleńskiego, przed ucztą.

Ksutos nie spodziewał się ukazania się Kreuzu; widok jej wprowadził go w zakłopotanie. Waleczny wojownik, który dopiero co rozgromił hufy eubejskie i w pojedynku zabił ich wodza, uczuł lęk niespodziany wobec młodej krasawicy. Nie mógł nawet wstać z miejsca; skamieniawszy na krześle, patrzył na nią, jak na zjawisko niebiańskie, nie mając odwagi przemówić.

Kreuzu podeszła doń z głową opuszczoną; oczy jej padły na miecz. Wzięła go w ręce, jak gdyby podziwiając jego rękojeść z kości słoniowej.

— Piękny masz miecz, gościu, — rzekła, aby zagaic rozmowę. — Jak go pozyskałeś?

Słowa te rozwiązały Ksutowi usta; odrazu ujęło go to, że Kreuzu obchodzi się z jego rzeczą już, jakby z własną; usłyszawszy zaś pytanie o miecz, uczuł się w swoim zwykłym żywiole.

— Kupiłem go, piękna królewno, wprost z okrętu fenickiego; był on wtenczas zupełnie jeszcze nowy; teraz zaś, — teraz, znalazłabyś szczerb niemało na obu jego ostrzach. I drogo mnie on kosztował: dałem za niego...

Chciał właściwie powiedzieć: młodą niewolnicę pteryjską; w porę atoli się spostrzegł i urwał zdanie niezręcznie, rumieniając się po uszy.

Kreuzu nic nie zauważyła; zdała się wciąż pochłonięta oglądaniem miecza.

— A powiedz, gościu — ciągnęła dalej z lek-

kiem drzeniem w głosie — gdybyś zdobył miecz, który przedtem należał do innego, czy byłby ci równie drogi i czcigodny?

— Od miecza żądamy — z zapalem odrzekł Ksutos — aby klinga jego była z trwałej, gibkiej stali chalibijskiej, inaczej mógłby się strzaskać o helm przeciwnika. — Także, aby wprowadzony był dobrze w rękojeść; kowale nasi wciąż jeszcze nie umieją robić tego, jak należy. To zaś, czy miecz był wprzód w innych rękach, nie ma znaczenia; nie na pokaz go mamy, lecz do boju.

Teraz dopiero Kreuzu spojrziała na Ksuta i osądziła, że, mimo wszystko, podoba się jej. „Nie celuje bystrością umysłu, pomyślała sobie, ale jest szczerzy, prosty, i zda się — dobry“. Wciąż miecza z rąk nie wypuszczając, podeszła doń jeszcze bliżej.

— Powiedz mi jeszcze jedno, Ksucie...

Ów aż rozpromieniał, słysząc po raz pierwszy swe niedźwiężne imię w ustach lubej.

— ...Czy zdarza się wam niekiedy używać oręża, zawieszzonego, jako trofeum, na kolumnach lub na murach świątyń bożych?

— W razie potrzeby czynimy to, Kre... to jest, królewno, chciałem powiedzieć; liczymy przytem, że w razie zwycięstwa suto wynagrodzimy ubytek, do poległego zaś bóg nie będzie miał urazy. — I Delfy potwierdziły nam, że niema w tem świętokradztwa — możesz własnych spytać egzegetów. Ale, rozumie się, biorąc oręż poświęcony, należy modlić się do boga, do którego oręż ów należał.

— Niechajże błogosławione będą Delfy, oraz

ich egzegeci, — odrzekła Kreuza z lekkim uśmiechem.

Poczem, przychylnie patrząc na Ksuta, położyła mu miecz jego na kolanach.

— Powiedz ojcu, że ja się zgadzam. Ale przed ślubem nie zapomnij pomodlić się do Apollina.

Nie czekając na wyrazy jego zachwyty, szybko umknęła do siebie.

VI.

Minęło lat dwadzieścia.

Król Erechteusz, zestarzewszy się ostatecznie, umarł. Krajem rządził Ksutos; rządził mądrze i dzielnie, stale naradzając się w wypadkach kłopotliwych z członkami Areopagu. Jednakowoż niełatwe miał zadanie. Lud nie chciał mu wybaczyć tego, że nie jest on z krwi Erechteusza, że nie jest synem świętej ziemi attyckiej. Często-kroć sprawa zaostrzała się aż do wzajemnych tarć; w takich razach przychodziła na radę Kreuza; przed córą Erechteusza wzburzone namiętności cichły natychmiast. Z czasem atoli i ta broń się stępiła: para królewska nie miała potomstwa, i obywatele z trwogą mówili między sobą, że wprędce krew Erechteusza wygaśnie na zawsze.

Za co taki gniew bogów?

Oczywista, pytanie to nieustającą troską osaczało Ksuta i Kreuzę. Całe hekatombie bydła padły przed ołtarzami bogów: sowite ofiary przyobiecano Artemidzie Braurońskiej i bogu rzecznemu Kefi-

sowi; pytano o zdanie wszystkich wróżów miejscowych — napróżno! Co zaś w największe wprawiało zakłopotanie wieszczbiarzy—bogowie dawali odpowiedzi nietyle nieprzychylne, ile nic nie mówiące, beztreściwe: ptaki wieszce nie swojemi odzywały się głosy; rysunek na wieszce wątrobie zaklutego zwierzęcia składał się z linji splecionych, nienadających się do żadnej interpretacji.

Ksutos nalegał, aby wyprawiono do Delf „teorję“ świętą, lecz Kreuza ani słyszeć o tem nie chciała.

Razu pewnego przed dworem królewskim stanęła błagająca rzesza kobiet — na czele wszystkich czcigodna kapłanka Pallady, dalej matki rodzin, dziewczęta i dziewczki; wszystkie miały w rękach zielone gałązki oliwne, owiązane przepaskami wełnianemi. Do tłumu wyszedł Ksutos; lecz kapłanka oznajmiła:

— Żądamy, aby wysła też i królowa.

Ukazała się i Kreuza—nieśmiała, z głową opuszczoną, jakby czując się winną. — Wtedy kapłanka rzekła:

— Królu i królowo, wiadomo wam, że onego czasu bogini nasza przyniosła trzem dziewomrosicom tej góry arkę tajemniczą, zakazawszy jej otwierać. Z nich jedna usłuchała przykazanie bogini, lecz dwie inne przykazanie złamały. W arce ujrzały one niemowlę, karmione przez dwa węże pokarmem nieśmiertelności. Gdyby były nie otworzyły arki przedwcześnie, dzieciątko zyskałoby nieśmiertelność, i łaska bogini dla kraju naszego byłaby zapewniona na wieki. Ukarane obłudem za

nieposłuszeństwo, dziewy rzuciły się ze skał Akropolu; dziecko zaś, wzrósłszy pod osłoną bogini, otrzymało od niej władzę królewską nad krajem. Był to Erychtonjos, czyli Erechteusz Pierwszy, rodzic królów naszych Erechtydów.

Po panowaniu długim i szczęśliwym Erechteusz umarł, przekazując władzę synowi Pandjonowi. Pod rządami jego jeszcze mocniej zajaśniała łaska bogów nad Attyką: Demetra i Djonizos przybyli do naszego kraju i nauczyli lud jego rolnictwa i hodowli winogrodu. Gdy zaś zawistny sąsiad tebański próbował wtargnąć w nasze granice, odparliśmy go mężnie, pokazując Helladzie, że gród Pallady równie potężny jest na polu bitwy, jak w pracy pokojowej.

Po Pandjonie nastąpił Erechteusz Drugi—ojciec twój, królowo.

Ciężkie były próby,—mówiła dalej kapłanka,—jakiemi dom jego doświadczały bogowie, lecz kraj pod jego panowaniem kwitł, para zaś królewska zyskała miłość u ludu za swą sprawiedliwość i dobroć. Za co na ciebie, Kreuzo, padł gniew bogów, tego nikt pośród nas nie wie. Wie to jednakże Zeus i wie to syn jego wieszcz Apollo. Królowo, nim pożegnamy się z nadzieją ujrzenia na tronie Erechtejowym szczepu jego krwi, żądamy, aby wyprawiono teorję do ogniska wspólnego całej Hellady, do Delf.

Kreuzu w milczeniu wysłuchiwała przemówienia kapłanki; widać atoli było, jak bolesna trawi ją udręka. Gdy kapłanka, skończywszy, cofnęła się kornie w szeregi tłumu, rzekła:

— Żądanie wasze jest słuszne, obywatelki. Weźcie swe gałązki błagalne, oznajmijcie wszem atenczykom, że jutro udaję się sama do Delf, aby o wolę boga zapytać.

VII.

Po trzech dniach Kreuzu, jako skromna uczestniczka pielgrzymki, stanęła w tłumie wszechhelleńskim, który przybył zapytać Apollina o radę. Słudze kościelnemu, który odbierał od pielgrzymów zwierzęta ofiarne, oddała nabytego tutaj barana o rogach złoconych, przywiązawszy mu na szyi symbol Ateny—glinianą podobiznę sowy. Potem ukazała się Pytja: po krótkiej modlitwie dokonała losowania wśród przybyłych, przyczem los wyznaczył Kreuzie jedno z pierwszych miejsc, następnie Pytja oddaliła się do świętego świątyni, gdy tymczasem tłum, oczekując na obrzęd święty, z podziwem wodził oczyma po ornamentach tej pierwszej na całą Helladę świątyni.

W pewnej chwili okrzyk Pytji zwiastował wszystkim, że zstąpiła na nią moc prorocza; wtenczas ze świątyni wyszedł sługa Apollina, młodzieniec piękności niewysłowionej, i jął podchodzić do pielgrzymów, wedle kolei, wskazanej przez los. Przyszła kolej i na Kreuzę; ujrzawszy młodzieńca obok siebie, nie zdołała powstrzymać okrzyku:

— Szczęśliwa jest ta, co wydała cię na świat! Jakże otrzymałeś od niej imię?

— Ta, która wydała mię na świat, jest, zapewne, bardzo nieszczęśliwa; imię zaś moje brzmi

poprostu — sługa Apollina. Ale nie czas na rozmowy o tem; o co pragniesz spytać boga?

— Pytanie moje zawarte jest w tym związanym i zapieczętowanym węzełku, — odpowiedziała Kreuza; — nie powinny czytać go oczy śmiertelne. A jak otrzymam odpowiedź?

— Odpowiedź odczytasz w tym samym węzełku; dla boga niema tajemnic, ani przeszkód.

Odszedł do świątyni; upłynęła chwila trwożnego oczekiwania. Nagle ze świątyni rozległ się nowy okrzyk Pytji, od którego wzdrygnęli się wszyscy obecni. Wprędce potem znów ukazał się młodzieniec; wszyscy spostrzegli, że bladeść śmiertelna pokrywała jego lica. Podał węzełek Kreuzie.

Pieczęć była nietknięta. Zerwawszy ją, Kreuza rozwinęła węzełek, jednakże natychmiast upuściła go z ręki, zachwiała się i twarz przesłoniła rękoma. Węzełek był pusty; wosk deseczek był jakgdyby wypalony ogniem pochodni, i same one czarne były, jak węgiel.

W tej samej chwili przyszedł też sługa kościelny, który odbierał był ofiary od pielgrzymów; wiódł on barana o złoconych rogach.

— Gdzie jest atenka, która dała mi barana z podobizną sowy? Niechaj zabiera go z powrotem i idzie precz co prędzej; bóg odtrącił jej ofiarę.

Teraz tłum, jakby odepchnięty, rozstąpił się wokół Kreuzy, niby wokół zadżumionej. Dały się słyszeć głosy:

- Grzesznica!
- Świętokradczyni bezbożna!
- Wszystkich nas okryła zmazą!

— Ukamienować ją!

— Ukamienować!

Coraz groźniej wzbierało oburzenie tłumu; ten i ów chwycił już kamień do ręki; jeszcze chwila — byłaby wybuchła okrutna rozprawa.

Kreuza porwała się ku młodzieńcowi, jakgdyby szukając u niego ratunku; teraz po raz pierwszy ujrzał on jej rysy, wejrzał w jej piękne, szeroko w zgrozie rozwarte oczy. Jakieś dziwne, nieznane mu dawniej uczucie drgnęło w jego sercu.

— Rzućcie kamienie! — zawołał do tłumu. — Któż waży się wolę boga tłumaczyć? Bóg często kroć człowieka upokarza, aby go potem wywyższyć. Pójdźmy wszyscy do źródła Kastalskiego, omyjmy się w jego oczyszczających strugach. Ty zaś, przybyszko, odejdz w pokoju, i niechaj bóg odtąd będzie łaskaw dla ciebie!

VIII.

Nieradosne było w Atenach spotkanie obojga małżonków.

— Bóg nie zaszczycił mnie odpowiedzią na moje pytanie.

Ksutos z zakłopotaniem spojrział na żonę, lecz ta nie dodała więcej ani słowa, on zaś, znając ją, nie próbował nawet dobyć z niej czegokolwiek.

— A jednak nie możemy zlekceważyć prośby obywatelki, — rzekł do niej: — wypadnie mnie samemu udać się do Delf.

Jakoż wybrał się w drogę, przytem z kieszą

bogata i z królewską switą; nim wrócił, młody księżyc zdążył już zaokrąglić się w pełnię. Wrócił zaś, jak można było wnosić, zadowolony; na pytanie żony odrzekł wymijająco — „wszystko dobrze” — natomiast dodał:

— Pozwól względem swoim polecić mego nowego towarzysza, z którym związałem się węzłem wzajemnej gościnności: Ion, syn Eolidy, delfijski.

Kreuzu spojrzała na gościa i — wydała okrzyk: poznała w nim młodzieńca, który ocalił jej życie w Delfach. Ów zdawał się być niemniej zdumionym.

— A więc ty miałeś imię?

— A więc ty byłaś królową?

Kiedyindziej mimowolne te okrzyki wywołałyby podejrzenia Ksuta; lecz teraz sam on w największym był zakłopotaniu.

— Jako król ateński, wystąpiłem wobec delfijczyków z uczcią, godną Pallady — rzekł, jakgdyby usprawiedliwiając się. — Sądziłem, że i bogu to będzie miłe. W imieniu delfijczyków odwzajemnił mi się uczcią Ion — tak kazał los. W taki to sposób związał nas stosunek wzajemnej gościnności. Teraz chcę mu pokazać Ateny. Pozostanie on u nas przez czas pewien.

Kreuzu skinęła głową w milczeniu i udała się do swych pokojów.

Ion rozgościł się rzeczywiście. Ksuta nie odstępował: uczył się odeń jazdy konnej i rzemiosła wojskowego, w którym był nowicjuszem; odwiedzał wraz z nim członków Areopagu, objeżdżał wieś. Ba dzo często Ksutos rozmyślnie zasięgał wobec osób obcych jego rady — i zdarzało się tak,

że za każdym razem bywała to rada zdrowa i rozumna. Czar i uprzejmość młodziana w obcowaniu z ludźmi, a także jego uroda zyskały mu przychylność u ludu; przyzwyczajono się doń, pokochano go i nawet ze smutkiem myślano, że jest on tylko gościem, jednakże, i że z czasem, acz jeszcze nierychło, odjedzie.

Natomiast królowej młodzieniec jawnie unikał; w jej obecności czuł się on zawsze skrępowany, jakgdy czemś wobec niej zawinił. Domownicy kładli to na karb naturalnej nieśmiałości młodego gościa wobec pani domu, jakkolwiek nie młodej już, lecz jeszcze hożej i urodziwej, — i w zupełności postępowanie jego aprobowali:

— Widać, że wzrósł on w lasce, — mówiono.

Jednakowoż, nadszedł czas, gdy Ionowi i Kreuzie, mimowoli, wypadło cokolwiek tę surowość wzajemną złagodzić. Odwieczni sąsiedzi wrogowie ateńczyków, eubejczycy, znów rozpuścili zagony i siłą zbrojną zajęli ziemie odzyskane przez Erechteusza; Ksutos musiał ruszyć na wojnę.

Przed wyruszeniem zaprosił na ostatnią ucztę przyjaciół-areopagitów i za trzecią koleją puharów, wezwawszy domowników, uroczyście oznajmił:

— Żono, poruczam Iona troskom twoim, jako gospodyni, i — z uwagi na młodość jego — jako matki. Ionie, powierzam królowę i dom twojej obronie. Święte prawo wszechhelleńskie wiadome jest wam obojgu.

To rzekłszy, stracił kilka kropel wina na ziemię.

— Zeusowi Zbawcy! — zawołali wszyscy.

— Za zwycięstwo naszego oręża! — zawołał Ion.

Ksutos wychylił puchar.

— Za powrót twój szczęśliwy! — dodał najstarszy areopagita.

Ksutos chciał dolać sobie wina, lecz upuścił z rąk puchar, i ten rozbił się.

— Niechaj takiemuż ulegnie rozbiciu potęga naszych wrogów! — szybko dodał Ion.

Wszyscy pochwycili jego interpretację, zagłuszając uczucie, jakie powstało w ich piersi.

IX.

Wojna się przewlekła; pełnia księżyca następowała po pełni, a hufce ateńskie nie wracały.

Królestwem rządziła Kreuza pospołu z radą Areopagu; do pomocy Iona uciekała się raczej po to, aby rozstrzygać spory włościąń we wsiach; wypadło mu z tego powodu często wydalać się, i to zdawało się być jej zamiarem.

Podczas jednego z jego wyjazdów zaszło zdarzenie następujące:

Sędziwa Eurynoma, rzadko opuszczająca starcze swoje łożo, w najwyższym wzburzeniu weszła do pokoju królowej; jedną ręką wspierała się na lasce, drugą wiodła młodą niewolnicę, również wzburzoną i błagającą o łaskę.

— Nie błagaj, nie błagaj! — powtarzała Eurynoma. — Ani słyszeć chcę o tem. Opowiedz królowej wszystko, coś wczora opowiedziała Eutychi-dzie, nic nie ukrywaj! Pamiętaj, że ta wie o wszystkim! Biada ci, gdybyś próbowała kłamać!

Kreuza na bok odłożyła przedzę.

— O co chodzi? — surowo spytała niewolnica: — coż wiesz ty takiego?

— Nie wiem o niczem, pani, — żałośnie zaczęła niewolnica, — poza tem, co opowiedział mi Straton, którego dałaś mi za męża.

— A coż on opowiedział?

— Należał on do orszaku króla Ksuta w Delfach.

— W Delfach? — spytała powtórnie Kreuza z drżeniem w głosie. — Mów dalej!

— Ano, tam, jak zazwyczaj, powiadał Straton, wyprawiono ucztę; potem znów ucztę; potem, powiadał Straton, był dzień wróżby. Ów młodzieniec, wtenczas jeszcze nie mający imienia, pyta króla: jakie pytanie każe przekazać bogu? A król odpowie: ja sam przed obliczem boga stawię mu swe pytanie. I poszedł tedy do świątyni, młodzieniec zaś, powiadał, został przed świątynią i jał chodzić tam i z powrotem, czekając na wyjście króla. A młodzieniec ów, powiadał Straton, nie miał wtenczas żadnego imienia...

— Wiem, wiem, coż więc dalej?

— A dalej, tedy, wychodzi król — młodzieniec go spotyka. Król, jak nie pocznie go ścisnąć: „Witaj, synu mój!“ Ów wrywa się: czy nie stracił on — myśli sobie — zmysłów? A król: „Nie postradałem ja zmysłów, tylko tak mi powiedział Apollo: kto, mówił, pierwszy ze mną się spotka, ten jest synem moim“. I dał mu na imię „Ion“, dlatego, mówił, że wyszedł był naprzeciwno. I orszakowi całemu z całą surowością nakazał: skoro życie wam jest drogie, nikomu o tem ani słowa! I, na miłość

bogów, królowo, nie zdradzaj tajemnicy. — Gdyby dowiedział się król, zabiłby Stratona, a Stratona mnie.

— Syn, powiedziałaś, syn.. Jakże może o być jego synem?

— O to samo i on właśnie spytał: jakoż, powiada, jestem synem twoim, skoro ja jestem delfijczykiem, ty zaś pochodzisz z Aten? I począł król przypominać sobie — rozumiesz — dawne sprawy. I przypomniał, że niegdyś, przed laty dwudziestu święcono uroczystość Djoniza w Delfach, i bałchantki delfickie...

Rozdzierający krzyk, jaki wybuchnął z pierś królowej, nie pozwolił jej dokończyć. Zerwawsz się z miejsca, wybiegła na dziedziniec przed zamkiem. Groźnie podniosła rękę w kierunku Cyteronu i gościńca delfickiego:

— Bądź przeklęty, bądź przeklęty, bądź przeklęty! — krzyczała w uniesieniu. — Dlaczego jemu nie zaś mnie? Czemu na łaskę twoją zasłużył? Ha! jego krew rozkwitnie w domu Erechteusza, moja zaś...

Opuściły ją siły. Gdy oprzytomniała, spostrzegła obok siebie piastunkę.

— Niechaj bóg ma cię w opiece, córko, co znaczą twoje straszne słowa? Przekleństwami nie nie wskórasz; trzeba działać, i szybko, póki twój mąż nie wróci. Nie można dopuścić, aby na tron twego ojca osadził on swego syna nieprawego, zrodzonego z jakiejś dziewczyny delfickiej.

Kreuzu słuchała w pokorze, nic nie odpowiadając.

— Posłuchaj, co ci powiem, córko. Matka twoja, błogosławiona królowa Praksytea, znała wszelkie trawy, jakie tylko wydaje matka-karmicielka, — wiedziała, które leczą, wiedziała, które zabijają. Tę wiedzę i mnie przekazała. Zdaj go na mnie i — sprawa będzie skończona.

Lecz Kreuzu zaprzeczyła ruchem głowy.

— On mi ocalił życie, a ja miałabym go zabijać? Nie, nianiu, niedobra jest twoja rada; nie godzi się córce Erechteusza wstępować na tę drogę.

Oczy jej błysnęły dumą i odwagą.

— Chcę jasności, jasności i prawdy. W Atenach naszych prawda boża pierwszą znalazła siedzibę. — Sama Pallas ustanowiła tu pierwszy w świecie sąd, sąd sprawiedliwy, nieprzedajny. Nawet bogowie nie uchylali się od stawania przed tym sądem; Ares odpowiadał przed nim za krew syna Posydonowego, którego zgładził w sprawiedliwej zemście za cześć swojej córki; i odtąd sąd ów zwie się sądem Areopagu.

W tej chwili podniosła się i powtórnie wyciągnęła rękę w stronę Cyteronu i gościńca delfickiego.

— I ja wyzywam boga przed Areopag!

X.

Powróciwszy, Ion, wedle ustalonego obyczaju posłał do królowej z zapytaniem, kiedy może zdać jej sprawę ze swej wycieczki w głąb kraju. Lecz królowa nie chciała go przyjąć i przez dowódcę straży pokojowej kazała mu oznajmić, że

ogólną wypadnie mu zdać sprawę ze wszystkich czynności przed trybunałem Areopagu.

Ion zrozumiał, że dowiedziała się ona o wszystkim i że nastąpił kres jego władzy w Atenach.

— Życie w Delfach pod łaską boga droższe mi było nad wszystkie trony świata. Ale żal mi zacnego Ksuta; jakże gorzka i samotna czeka go starość!

Wszedł do swej komnaty, złożył w skrzyni bogate suknie królewicza, podarowane przez Ksuta, i dobył z niej skromną szatę sługi Apollina, którą nosił był w Delfach. Dobył też kosz stary, lecz wytworny i mocny, który ofiarowała mu Pytja w chwili pożegnania.

— Com przyniósł, to zabiorę z sobą,—rzekł sam do siebie:— reszta niech zostanie w domu Erechteusza!

Tymczasem, Kreuza, o powrocie Iona usłyszawszy, kazała wezwać najstarszego z areopagitów. — Kefisodorze,—rzekła doń—mam sprawę dla Areopagu. Chcę wyznać mu swoją krzywdę, on zaś niech wyrokuje po prawdzie, jak zaleca przykazanie Pallady. Każ oznajmić też Ionowi, aby stanął przed sądem.

— Jako oskarżony?

— Nie, jako świadek.

— A któż będzie oskarżonym?

— Oskarżonego wymienię przed sądem; nie bój się, usłyszysz on mój pozew. Zgromadźcie się tedy niezwłocznie na skale Aresowej.

— Areopag się teraz nie zgromadza na skale Aresowej.

— A gdzież?

— Pod Akropolem, na łące, w pobliżu Długich Skał.

Kreuza drgnęła.

— Dlaczego tam?

— Mamy wyprawić do Delf teorję uroczystą, królowo; sygnał atoli do wyprawy dać powinien sam Apollio błyskawicą z góry-Wozu, stojącej w łańcuchu Parnetu. I oto, obecnie, orszak areopagitów, ukazując się kolejno, śledzi z Długich Skał, skąd otwiera się widok na Parnet, kiedy ukaże się błyskawica; skoro Areopagowi wypada zgromadzić się w pełnym składzie, odbywa on tam właśnie zebrania.

— Doskonale,—odrzekła Kreuza z utajoną zawziętością w głosie:— będzie to jeszcze lepiej. A więc, oczekujcie mię na łące u Długich Skał.

XI.

Pieczara Długich Skał wyglądała teraz już inaczej, niż przed laty dwudziestu, gdy królowna Kreuza zrywała tu kwiaty podczas święta Antesteryjów. Gęsta zasłona drzew laurowych zagradzała do niej dostęp, wąskie zaledwie zostawiając przejście; ale i ono było niedostępne dla ogółu ludzi. Dostępu do pieczary wzbrowiła królowa Kreuza; w przeddzień swego ślubu poświęciła ona tu jakoweś przedmioty i odtąd, w zimną noc miesiąca Posydeona, dopełniała tam jakichś obrzędów, o których nikt nie powinien był wiedzieć.

Teraz, na łące przed pieczarą, półkrygiem

rozstawiono dwanaście stołków składanych; zajmowali je areopagici, uwiencześni wiankami zielonemi, w porządku określonym kolejną starszeństwą; w półkolu stał Ion — taki, jakim znano go w Delfach, u nóg zaś jego stał koszyk Pytji. Wszyscy czekali na przyjsie królowej.

Wreszcie królowa nadeszła — blada, drżąca, wsparta na ramieniu kapłanki Pallady.

XII.

Za nią szedł cały ów tłum, który jawił się był przed nią z gałązkami oliwnemi onego dnia pamiętnego i uprosił ją, aby udała się do Delf.

— Nie mówiłam wam jeszcze, jaka była odpowiedź Apollina — ozwała się Kreuza — więc powiem wam teraz.

— Sędziowie są obecni, świadek także — podjął Kefisodor: — powiedz, królowo, kogo oskarżasz.

Kreuza wzniosła głowę i rumieniec gniewu pokrył jej policzki.

— *Jego!* — wykrzyknęła, wskazując na rozpadlinę Parnetu, której trzech areopagitów nie spuszczało z oka. — Byłam jeszcze dziewczicą; udała mu się moja krasa. Wywołał mię we śnie, w noc przed Antesterjami. Czyż sądziliście, że moja komnata ślubna mieści się w zamku Erechteusza obok domu Pallady? Nie; oto, kędy jest moje łóże ślubne!

Wyciągnęła rękę w kierunku grotu.

— Nie skarżyłam się ja wtenczas; szczęście nieziemskie porwało całą moją istotę: byłam szczęśliwsza nad wszystkie kobiety, że dano mi było

nosić pod sercem dzieciątko krwi bożej. Marzyłam wciąż: bóg mnie nie opuści, bóg wejrzy na moją nadzieję. Ale miesiące mijały, a bóg nie przychodził. W tajemnicy przed światem, bożą wynosiłam ciężę; potajemnie wydałam na świat dziecię w domu Erechteusza, do krwi zagryzając wargi, aby nie wydały krzyku zdradzieckiego z piersi; potajemnie przeniosłam je tutaj, do pieczary, przed oczy jego niepamiętliwego rodzica. I jest to wszystko, co o nim wiem. Minęło lat dwadzieścia — ani razu bóg nie wspomniał o mnie. A gdy zmuszono mię, abym podjęła do niego pielgrzymkę, i w węzłku zapieczętowanym podałam mu pytanie, gdzie jest syn mój i jego — wypalił on moje pytanie i nie dał żadnej odpowiedzi. Potem i mąż mój Ksutos udał się do niego; i cóż? Jemu ofiarował on to, czego mnie odmówił, dał mu syna jego miłości młodzieńczej. Synem tym jest — ten!

Pokazała ręką na Iona.

— Sędziowie Pallady — ciągnęła dalej Kreuza: Potężna córca Gromowładcy dała wam wielkie prawo wymiaru sprawiedliwości nad bogami i ludźmi: Ares i Posydon poddali się waszemu wyrokowi. Rozsądźcież tedy sprawę między mną a moim krzywdzicielem, zażądajcie od Apollina, ażeby oddał mi dziecko moje!

W tej chwili goniec zbrojny, zdyszany od pośpiechu, dopadł do Kefisodora i szepnął mu coś do ucha. Kefisodor westchnął i zdjął wieniec z głowy. Wszyscy areopagici zwrócili nań spojżenia pytające:

— Co się stało?

— Sąd Areopagu odbywa się w dalszym ciągu, — głośno oznajmił Kefisodor.

— Królowo, w opowiadaniu twojem nie wszystko jest zrozumiałe. Dlaczego nie wyznałaś wszystkiego ojcu swemu Erechteuszowi? Był to człowiek łagodny, i kochał cię; z pewnością znalazłby on sposób, aby pomóc twej niedoli i, synów nie mając, chętnie przyjąłby wnuka krwi bożej, którego ty wydałaś na świat.

Kreuzu zmarszczyła brwi.

— W swym nakazie przed rozstaniem bóg wzbrowił mi mówić o tem komukolwiek; w tem zawierało się dopełnienie niedoli. Nikt o niczem nie wiedział, ani ojciec, ani piastunka. Wszystko przeboleć musiałam ja sama.

— Mówisz o nakazie: czy pamiętasz go dobrze?

— Jeszcze by też! Ognistemi zgłoskami zapadł on w me serce.

— Powtórz go więc przed sądem słowami samego boga.

— Rzekł do mnie temi słowy: „Dzięki ci, Kreuzo, za twoją miłość; nagrodą twoją cudne będzie dzieciątko, które urodzisz, skoro Selena poraz dziesiąty zwinie swoje rogi. Ale nie powinnaś wyjawiać nikomu, że ojcem jego jest Apollo...”

— To wszystko?

Kreuzu odpowiedziała nie zaraz.

— Nie, nie wszystko, — rzekła, nakoniec, prawie szeptem.

— Wobec sądu nie powinno być tajemnic; co jeszcze przykazał ci bóg?

— „...i obowiązana jesteś w miłości je wy-

karmić i wychować sama, nie odsuwając go od siebie“.

— A ty śmiałaś woli bożej nie usłuchać?

— Czyż mogłam ją spełnić? Pomyslecie! Pozostawić przy sobie dziecko, w dziewictwie urodzone, wstydu mojego poszlakę, — i nikomu, nawet ojcu rodzonemu, nie wyjawić tego, co by mię wobec niego usprawiedliwiło, że to dzieciątko poczęła z boga! O, łatwo było bogu żądanie to stać! W początku, i ja byłam mu posłuszna, spodziewając się, że przyjdzie on, że wesprze mię i poratuje. Lecz, gdy mijać poczęły miesiące, a jego nie było, gdy nadszedł dzień, który ciało me zakrwawił, a jego wciąż nie było, wtenczas i moja dusza załamała się w niemocy.

Kefisodor smutnie opuścił głowę.

— Wysłuchaliśmy oskarżycielki; wysłuchajmy też świadka. Ionie, synu Eolidy, co wiesz ty o swem pochodzeniu?

— Apollo dał mię za syna królowi Ksutowi, — skromnie oświadczył Ion: — wiem to ze słów króla. Sam o ten zaszczyt się nie ubiegałem; skoro królowa jest na mnie niełaskawa, wrócę pod opiekę boga. Żegnając się ze mną, Pytja, w Delfach, zastępująca mi matkę, dała mi ten kosz; „po tym koszu — rzekła — poznasz ty swoją matkę prawdziwą“. — „Kiedy?“ spytałem; ona zaś odrzekła: „Kiedy bóg zechce“.

— Oddaj kosz sądowi, — rzekł Kefisodor. Ion wykonał zlecenie. Kreuzu, wciąż spoglądająca na rozpadlinę Parnetu, w tej chwili po raz pierwszy zwróciła nań uwagę. Serce jej przeniknął dreszcz.

Kefisodor rozwiązał sznurki, zdjął pokrywę i zajął do środka.

— Nieświetną schedę przekazała ci matka — rzekł z uśmiechem do młodzieńca.

W rzeczy samej, cała puścizna polegała na kawałku białej tkaniny, z pozoru przypominającej pieluszki dziecięce.

— Acz, zresztą, w robotach niewieścich niedługo była ona mistrzynią. Patrzcie, co jest tu wyhaftowane: powalony olbrzym, nad nim zaś głowa Gorgony. Szkoda, że ręka Pallady, która go trzymała, została oderwana.

Kreuzza podbiegła ku sędziemu. Nieprzytomna ze wzruszenia, rzuciła się do pieczary i natychmiast wyszła stamtąd z chitonem w ręku. Rozwinęła chiton:

— Spójrzcie, oto ręka Pallady. Widzicie? Wszystko się zgadza, haft jest cały, haft ręką matki mojej Praksytei robiony.

Spojrzała na Iona:

— Sędziowie, sędziowie! Teraz proszę ja sama, aby uniewinnić oskarżonego. Wiele wycierpiałam, ale ta jedna chwila okupuje wszystko: Apollo zwrócił mi mego syna!

Wszyscy areopagici, prócz jednego, wstali ze swych miejsc. Dały się słyszeć okrzyki powitalne:

— Niech żyje Ion!

— Niech żyje syn Apollinowy!

— Niech żyje królewski wnuk Erechteusza!

Kefisodor przeczekał wybuchy radości, poczem z powagą obwieścił:

— Niech żyje *król* Ion!

Wszyscy oniemieli. Jaki? Król Ion? Dlaczego król?

Kefisodor mówił w dalszym ciągu:

— Przykro mi zasmucać królowę i was wszystkich w tak radosnej chwili; lecz wiadomość, jaką dopiero co otrzymałem, głosi: hufy eubejskie rozbite zostały przez wojsko Pallady, ale w boju, mężnie potykając się, poległ król nasz, Ksutos, syn Eoa.

Areopagaci zdjęli wieńce. Kreuzza pochyliła głowę, radosny uśmiech, znikł z jej ust, dwie łzy ciężkie stoczyły się po jej policzkach.

— Dobry był i prawy, — rzekła — i poległ śmiercią bohatera; niechże będzie uczczony złożeniem zwłok w grobowcu Erechtydów!

— A ja, matko, — dodał Ion — ja pomszczę jego śmierć. Nie lękajcie się, synowie Pallady, Eubeja będzie nasza!

— Niech żyje król Ion! — ozwały się znów okrzyki w gronie areopagitów.

W tej atoli chwili wstał areopagita, siedzący dotychczas; był to obywatel posępny, lecz sprawiedliwy i od wszystkich za swą prawość skrupulatną szanowany.

— Czekaście, obywatele, powstrzymajcie się od wyroku nazbyt skwapliwego. Chętnie wierzymy tobie, królowo; jednakże trybunał Areopagu wymaga nie wiary, lecz dowodów. Czem udowodnisz ty, że ów młodzieniec — tu wskazał na grootę — był, prawdziwie, Apollinem, nie zaś śmiertelnikiem?

Nie zdążył atoli słów swych dokończyć, gdy rozległ się okrzyk:

— Błyskawica z Parnetu!

Wszyscy zwrócili spojrzenia w tę stronę. Jeszcze podwakroć, coraz jaskrawiej, błyskawica oświetliła rozpadlinę nad górą.

— Ustępuję; gdzie bóg daje świadectwo, tam człowiek umilka.

— Chwała Febowi! Pean, pean! — jęły śpiewać niewiasty.

Cały pochód ruszył w kierunku wzniesienia ku Akropolowi; na czele wszystkich szła Kreuza, wsparta na ramieniu syna, potem areopagici, dalej zaś — pozostały tłum.

— Chwała Febowi! Pean, pean!

I echo Długich Skał wtórowało szlochom radości:

— Chwała Febowi! Pean, pean!



65/191/1

SPIS RZECZY SERJI PIERWSZEJ.

	str.
I. Puchar Krzywdy	7
II. Zaklęty dwór	57
III. Zamek Jutrzenki	95
IV. Królowa Wichur. Prolog	121
V. Tajemnica długich skał	137

Kraśiński Z. Poezje wybrane, w układzie St. Wyrzykowskiego
Kwiatkowski R. Chiakunin-izsu czyli ze stu poetów po jednej pieśni
Lange A. Dywan Wschodni. Antologia poetów wschodnich
Lechoń Jan. Karmazynowy poemat
Leonardo da Vinci. Pisma wybrane. Wybór, układ, przekład i wstęp Leopolda Staffa 2 t.
Leśmian B. Łąka
 — Sad rozstajny. Poezje
Limanowski B. Dzieje Litwy
 — Historia demokracji polskiej w epoce porobiorowej t. I, II.
Liryka francuska serja I i II. Przekład Br. Ostrowskiej
Lorentowicz Jan. Polska Pieśń Niepodległa. Zarys literacki
Louys Piotr. Pieśni Bilitis. Przel. L. Staff
Markowska M. Przejdzem Wisłę przejdziem Wartę... Powieść historyczna
Michał Anioł. Pisma. Przekład L. Staffa
Mickiewicz Ad. Pan Tadeusz. (album) z ilustracjami E. M. Andriollego
Miriam. U Poetów. Przekłady
Nal i Damajanti. Baśń staroindyjska z ksiąg Mahā-Bhāraty. Z sanskrytu przełożył A. Lange
Nalepiński T. Kazia. Powieść
Nałkowska Rygier Z. Hrabia Emil. Powieść
Nietzsche Fr. Dzieła. Przełożyli: W. Berent, K. Drzewiecki, L. Staff i St. Wyrzykowski
 — Tom: I Tako rzecze Zaratustra
 — II Poza dobrem i złem
 — III Z genealogji moralności
 — IV Dytyramby Dyonizyjskie
 — V Zmierzch Bożyszc
 — VI Wiedza radosna
 — VII Jutrzenka
 — VIII Antychryst
 — IX Narodziny tragedji
 — X Ludzkie arcyludzki
 — XI Wędrowiec i jego cień
 — XII Wola mocy
 — XIII Niewczesne rozważania
 — Ecce homo (Supplement)
Norwid C. Czarne i białe kwiaty. Wybór prozy w układzie R. Zrębowicza
 — Pisma wybr. t. A. cz. I i II. Pisma wierszem. Dział I t. C. Pisma dramatyczne
 — t. E. Pisma prozą. Dział pierwszy legendy i nowele
 — Wybór poezji w układzie Zenona Przesmyckiego (Miriam.)
Novalis. Pisma t. I. Henryk Offterdingen

Ostrowska Br. Chusty ofiarne. Poezje
Panteon. A. Mickiewicz. Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego
 — J. Słowacki. Genезis z Ducha
 — Z. Kraśiński. Modlitwy
 — Sofiści greccy. Wybór i przekład L. Staffa
 — Epikur. Myśli
 — Kwiatki św. Franciszka z Asyżu wybrane przekł. L. Staffa
 — Salomon. Pieśń nad pieśniami
 — Leonardo da Vinci. O malarstwie przeł. L. Staff
 — Heraklit. Myśli
 — Spinoza. Myśli
 — Nietzsche. Żart, chytrość i zemsta
 — Epiklet. Encheiridion
 — Demokryt. Myśli
 — Petronjusz. Uczta
 — Marek Aureljusz. Myśli
 — Pascal. Modlitwy i rozmyślania
 — Norwid C. Milczenie
Papini J. Dzieje Chrystusa przełożył W. Rzymowski
 — Pamiętniki Pana Boga " "
 — Tragedje powszednie " "
Plutarch Polski. Hugo Kollataj przez B. Limanowskiego
 — — Tadeusz Kościuszko " "
 — — Walerjan Łukasiński „ „
 — — Stanisław Staszic „ „
 — — Romuald Traugutt „ „
Poe Edgar Allan. Arabeski t. I i II
Poincaré H. Nauka i hipoteza
 — Nauka i metoda
 — Wartość nauki
Rabindranath Tagore. Owocobranie. Przel. L. Staff
Renan E. Żywot Jezusa
Rolland R. Beethoven przeł. M. Zabojecka
 — Piotr i Łucja. Idylla tragiczna przeł. M. Zabojecka i H. Bezmaski
Rzymowski W. Polskie-Arcypolskie
Schlaf J. Wiosna. Przel. i wstęp. zaopatrzył St. Przybyszewski
Siedlecki M. Prof. Jawa. Przyroda i sztuka. Uwagi z podróży
Sieroszewski W. Beniowski. Powieść hist.
 — Ocean. Powieść hist.
 — Zamorski Djabeł. Powieść dla młodzieży
Słowacki J. Pisma mistyczne w wyb., ukł. i oprac. St. Wyrzykowskiego
 — Utwory liryczne. Wybór i układ St. Wyrzykowskiego

- Staff L.** Fletnia chińska
 — Oczy otchłani
 — Ogród pieszczot
 — Pieśń o skowronku
 — Sady
 — Ścieżki polne
 — Wino miłości
Strug A. Chimera. Powieść
 — Dzieje jednego pocisku. Powieść
Szczęśny Al. To co się stało. Poezje
Szpotkański St. Adam Mickiewicz i jego epoka t. I. Racyo-
 nalizm i romantyzm
 t. II. Towianizm
Towiański A. Pisma wybrane 2 tomy
Trojanowski W. Malarstwo włoskie z 40 planszami
Trzebiński M. Stara Warszawa. Album
Tuwim J. Czyhanie na Boga
 — Sokrates tańczący
Wasylewski St. Sztambuch. Skarbnica romantyzmu
Wierzyński K. Wiosna i wino. Poezje
Zabojecka M. Powieść o duszy polskiej
Zieliński T. Religja starożytnej Grecji
Złota legenda błogosławionego Jakóba de Voragine. Przeło-
 żył i wstępem opatrzył L. Staff. Poczet pierwszy
Żeromski S. Biała rękawiczka
 — Charitas. Powieść współczesna
 — Dla młodzieży. Książka pierwsza
 — " " " druga
 — Duma o hetmanie
 — Dzieje Grzechu
 — Echa leśne
 — Inter Arma
 — Nawracanie Judasza
 — Organizacja inteligencji zawodowej
 — Początek świata pracy
 — Popioły wyd. nowe 3 tomy
 — Powieść o Udałym Walgierzu
 — Projekt Akademii Literatury Polskiej
 — Rozdziobią nas kruki, wrony...
 — Sen o szpadzie i sen o chlebie
 — Słowo o Bandosie
 — Sułkowski. Tragedja
 — Syzyfowe prace
 — Uroda życia 2 tomy
 — Wiatr od morza
 — Wierna rzeka. Klechda wyd. nowe
 — Wisła
 — Wszystko i nic. „Popiołów—sprawa druga“
 — Zamieć

Żywot chłopca polskiego na początku 19-go stulecia. Do druku
 podał M. Handelsman.